

~~K230~~

STANISŁAW
BRZozowski
PAMIĘTNIK

21.5.1918

Stenica

360
x

PAMIĘTNIK

ODBITO W Drukarni Narodowej w Krakowie. 1913.

STANISŁAW
BRZozowski
PAMIĘTNIK

NAKŁADEM
ANTONINY BRZozowskiej
FRAGMENTAMI LISTÓW AUTORA
I OBJAŚNIENIAMI UZUPEŁNIŁ
OSTA P O R T W I N

LWÓW
KSIĘGARNIA POLSKA
B. POŁONIECKIEGO -
WARSZAWA - E. WENDELSKY

~~15230~~

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



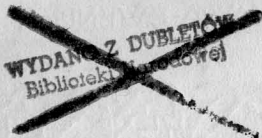
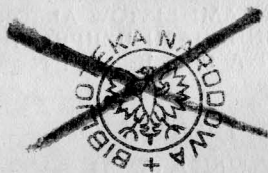
FUW0489595

D-84/84 P

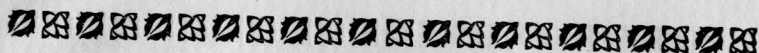


opr.

86230 ✓



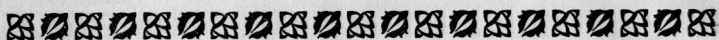
1987 06-84 5



10. XII. 1910.

Niewątpliwie jest to dla mnie czas krytyczny: młodość przeszła doszczętnie i nastał czas, w którym nie wolno już zapowiadać, lecz trzeba dawać rzeczy mogące istnieć, mające chociażby pewne tylko prawa do istnienia. I jednocześnie coraz jaśniej występują wszystkie braki w przygotowaniu, wszystkie zaniedbania. Rozpacz jest rzeczą łatwiejszą, niż spokojne i zimne spojrzenie na rzeczy tak, jak są one. Bardziej niż wszelkie braki kultury ciąży i jest groźniejszy wewnętrzny rozstrój woli, wzrastający brak odwagi. Do pewnego stopnia on to szukając dla siebie usprawiedliwienia stwarza poczucie owych braków, chociaż byłoby rzeczą śmieszną wprost przeczyć, że są one straszliwe.

W *Revue Bleue* notatka o Meredice. Stwierdzają, że i angielska krytyka uznaje »że nie zostawił on dzieła w rodzaju *Misérables* Wiktora Hugo«. Jest to jedno z tych zdań, które wywołują we mnie przygnębienie — tak trudno zrozumieć samą możliwość ich powstania. Wszystko trzyma się tu na tem, że Meredith, według określe-



nia krytyków *Revue Bleue* był romantykiem. W. Hugo wielki romantyczny pisarz i Meredith romantyczny pisarz — stąd porównanie. Weźmy stronicę Meredith'a i stronicę W. Hugo zarówno prozy jak i poezyi, i starajmy się zrozumieć, gdzie tu jest wspólny grunt. Wartości, do jakich dążył W. Hugo i te, do jakich dążył G. Meredith, są całkiem z różnych płaszczyzn, należą, jeżeli się wyrazić można: do całkiem różnych formacji psychicznych. Nie mogą być rozmieszczone na jednym i tym samym planie, niema żadnej skali różnic i podobieństw, która by je objęła. I jaki sens w twierdzeniu, że Meredith był romantykiem. Doprawdy, chciałoby się zapomnieć, że te terminy kiedykolwiek istniały i myślę, że najrozumniej byłoby w syntetycznem opracowaniu literatury unikać ich i dążyć do nowych klasyfikacyi. Tego rodzaju artykuły odbierają ochotę do myślenia: czy warto, jeżeli mogą być mówione takie rzeczy? kto zajmuje się krytyką? A przecież tu jest teren do walki z nieustannem fałszerstwem duszy i umysłu. *Richard Feverel* według *Revue Bleue* też jest tylko romantyczną powieścią miłości. Sama myśl tej powieści wprowadzająca nas w świat zagadnień Meredithowskich zginęła. Ojciec chciał stworzyć w synu coś zabezpieczonego od namiętności, wyższego niż natura, i powieść Meredith'a jest stwierdzeniem tego samego zasadniczo anti-romantycznego stanowiska wszystkich jego utworów: nic wyższego niż prawda, niż życie

nad życiem, aby nagle nabrały znaczenia obiektywnego stany dotychczas subiektywne, romantyk, człowiek naszej kultury, musi apelować do czegoś, co wywoła przezwrot, co przerwie wieczną immanentną tkaninę życia, roztworzy nowe *a capite*.

Meredith myśli bez tego *a cap*. Sam zawikłany styl jego jest wynikiem dążenia, by uniknąć takiego terroryzmu, by nigdzie nie narzucać swej subiektywnej dowolności. W tym pięknym umyśle wszystko jest wynikiem jednego i tego samego prawa: jest to istotnie organizm duchowy, w którym panuje własna harmonia. Dlatego tak przykro widzieć, że może to być tak całkiem niezrozumiane.

Starać się, aby ani jeden dzień nie przechodził bez wzniesienia się myślą do zasadniczych celów i zadań. Nazbyt już wielką władzę ma nademną zasada »wyrównania«, nazbyt łatwo niweluje mnie powszedniość t. j. miejsce przecięcia wszelkich punktów widzenia — punkt ich neutralizacji absolutnej.

Pierwsze wrażenie pierwszych kilkunastu stronic Bradley'a raczej odstręczające. Koncept o kochance ma w swym stylu coś, co nie wróży dobrze. Ale to na-

turalnie należy już do dziedziny niemal historycznej; myślę jednak, że jest i coś innego w tem wrażeniu. Czy nie znajdę już człowieka, lub czy nie znajdę siły — by być direkt w metafizyce — zawsze z ukosa. Pierwszy rozdział Bradley'a niewątpliwie, że jest zupełnie udany, jeżeli chodzi o to, by wznowić poczucie obecności problemu przez nowe, a więc z natury rzeczy dziś wyrafinowane przedstawienie sprawy, przez pominięcie argumentów »common place«. To styl; filozoficzny, ale napewno styl, nietylko w znaczeniu dowolności — lecz także w znaczeniu musu = swobody = natury. Zagadnienia stają się obecnymi, widzenie staje się obecnem tylko przy pewnych warunkach, odpowiadających rodzajowi i poziomowi kultury. Warunki te muszą polegać właśnie na tem, aby im bardziej ogólną była prawda, im bardziej *terre à terre* — tem prawdopodobniejsza droga prowadziła do niej. Umysł ceni w gruncie tę drogę, a w żadnym razie obejść by się bez niej nie umiał.

Krytyka dla tego jest tak beznadziejnie droga i tak beznadziejnie bezcelowa, że musi coraz nowe przyjmować pod uwagę płaszczyzny i punkty widzenia dla swych klasyfikacyi. N. p. w jaki sposób dochodzimy do bezpośredniego życia własnego, w jaki sposób powstaje osobiste zainteresowanie, widzenie czy problem.

Nie ulega wątpliwości, że estetyka Przybyszewskiego sprzyjała niechlujstwu umysłowemu. Przy niej powstał stan rzeczy tego rodzaju, że można było nie wiedzieć, co się chce napisać i nie tracić nadziei, że naga dusza *выведетъ*, jak powiadają moskale.

Nie powinienem dopuścić, aby znajomość literatury rosyjskiej zmarnowała się. Trzeba doprowadzić do końca pracę nad *Uspieńskim*.

Starać się opracować młodość Renana — bez uwzględnienia na razie dalszych etapów, więc może aż po *Avenir de la science* i nie dalej, co najwyżej *L'Averroès*. Daje się to zupełnie pomyśleć i wykonać.

Renan, Sainte Beuve, Hegel, Balzac, niewątpliwie nabrałbym otuchy, gdybym zdołał ich opracować. Przemódz to niedołęstwo, które rozpościera się we mnie. Módl się. Modlitwa jest obecnością w dziedzinie praw i celów, zatopieniem się w tych sferach, gdzie istnieją prawa i cele. Tam jest granica. Stamtąd możesz myśleć o Bogu bez bałwochwalstwa.

Staraj się żyć modlitwą, a nie polemiką i przeciwstawieniem. Siła ginie w tem tarcu i nie rodzi się pewne światło.

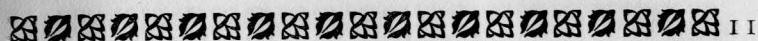
Blake ma dla mnie znaczenie niezrównane. Jest on dla mnie wielkim świadkiem. Dość pomyśleć o nim, by odrazu wydobyć się na poziom wysokiej myśli.

Stan duszy powstający przy czytaniu pierwszego tomu poezji Swinburne'a. Świat przedstawia się w kształtach piękna najrozmaitszych epok, nie możemy wyrzec się żadnego z tych kształtów — są one wszystkie razem na jednej płaszczyźnie i powstają pomiędzy nimi stosunki, porównania. Nie ma żaden z tych światów władzy nad nami bezwzględnej, nie jest naszym światem i mając ich tyle, nie mamy jakby żadnego. Dla tego też istnieje w tej poezji pierwiastek ciemnego, zdławionego żaru. Miłość piękna, wielkość życia i jednocześnie przemijanie, jakby bez śladu, bez powietrza. Jednocześnie ten sam moment jest naszym bogactwem: rozporządzamy wszelkiem pięknem, nie wyrzekamy się żadnego. Bogactwo niewątpliwie już tylko artysty, gdyż u Goethego — jeżeli nie u rzeczywistego, to u Goethego pomyślanego, że tak powiem, jako idea Platońska — życie osobiste posługuje się całą historią jako swym organem i tworzy w niej swój organizm. Tu historia panuje, poprzedza życie, nie dopuszcza do ustalenia się żadnego sensu, żadnego własnego nie »artystycznego« kształtu. Pierwsze wrażenie to jednak tylko.

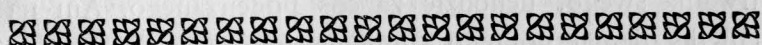
U Arnoldda: *гoнoрнoстb* — jak przetłumaczyć ten wyraz. Świat sobie i ja sobie. Pluralizm nietykalskiego. I pomimo wszystko właściwie on może jest bliższym mi, niż kto inny, z tej właśnie mało zachęcającej strony. Pomimo wszystko sytuacyjnie, pokrewieństwo z Carlyle'm bardzo wielkie.

Newman niewątpliwie ulega jakiemuś procesowi we mnie. Nie wydaje mi się paradoksem, gdy powiem, że w skali Meredith'owskiej Byron i Newman, (John Henry — byłby oburzony i zgorszony), są możliwymi etapami jednego i tego samego procesu. *Amazing Marriage, Katolicyzm w Anglii* może być istotnie rozpatrywany, jako wynik arystokratycznego egotyzmu, jako wytwór tej samej psychologii: nadmiaru bogactwa. U Moore'a rozmowa czyjaś (nie pamiętam — ach, tak, Walter Scotta) z Byronem. Walter Scott twierdzi, że jeżeli Byron się nawróci, katolicyzm prawdopodobnie skusi go najprędzej.

Byronizm, Newmanizm z punktu widzenia Carlyle'owskiej fenomenologii Anglii, złe sumienie bogactwa, arystokracji nie umiejącej rozkazywać, a nie mogącej, nie chcącej — ale przedewszystkiem nie mogącej (psychicznie) zrzec się rozkazywania, myśleć o sobie w innej formie. Trzeba pamiętać o tem.



muszę, pisząc, posługiwać się śmiesznymi przeciwstawieniami — nie daje się pogodzić z żadnym lekceważeniem tego co jest, »zmysłowym czarem poezyi«. Przeciwnie, ten czar to czyni właśnie poezycę głębokiem dziełem życia, w magii formy jest jej element twórczy, w życiowym, metafizycznym znaczeniu. Dlatego też nie można nawet mówić o współodpowiedniości formy i treści, o bogactwie treści i ubóstwie formy. Poetycko treść jest formą, by być poezycą treść musi się stać radosnym faktem życia, a jest tembardziej sobą, im bardziej całe życie obejmuje. Każdy element obojętności istniejący w nas, mogący istnieć w chwili poetyckiego ujęcia, uszczupla głębokość poezyi, jest połączony z jej uszczerbkiem. Poezja musi być pojmowana jako twórcza autodefinicya człowieka.



12. XII.

Przystępuje się najzupełniej spokojnie do analizowania takich zjawisk jak »rozum«, »wyobraźnia«, »po-znanie« i ignoruje się najzupełniej ich społeczno-historyczną strukturę, przeciwnie: uznaje się milcząc za punkt wyjścia, że należą one tak lub inaczej do samej natury człowieka, stanowią moment jego definicyi.

Gleb Uspieńskij formułuje właściwości myśli rosyjskiej jako niedowierzanie do samej sobie i szacunek krytyczny, niemal nieprzewyciężony do myśli cudzych,

które są w stanie naszym: „по шапкѣ дать“. Eheu! i niewątpliwie czepia się ta choroba nietylko rasowych Rosyan, lecz wszystkich, co zaznali dobrodziejstw caratu i przedewszystkiem szkół rosyjskich, o których tow. Łunaczarski jest tak dobrego zdania („Русская школа не хороша, но это ужь оставтъ!“). Niewątpliwie bowiem, nie ufam myślom i kierunkom myśli, które przychodzą mi z łatwością. Dlatego piszę nieraz lepiej i głębiej, gdy się muszę spieszyć, bo wtedy nie mogę się krępować i wtedy zwycięża instynkt nad nieufnością. Czasami myślę, że nie uda mi się już wyleczyć z tej garbacizny, tem bardziej, że i tu staje na przeszkodzie znowu zapewne Siengalewiczowska szczepionka: nieufność do pracy nie narzuconej zewnątrz, niewiara w nią. Procesy umysłowe odbywać się muszą we mnie incognito i przez cały czas trwania swego, uchodzić za coś podejrzanego. Ani na chwilę niemal dobrego sumienia intelektualnego, gdyż tak urządzono mi, — i myślę, że mógłbym powiedzieć nam, — samowiedzę kulturalną, że to właśnie, co jest pracą istotną, wydaje się jakimś beznadziejnem oszukiwaniem samego siebie. Trzebaby nie żyć własnymi myślami, nie budować na nich, nie wytwarzać na ich podstawie planów i woli, aby być w zgodzie z tą kulturalną samowiedzą, — a więc musi się być w niezgodzie z nią — niezgodzie tak głębokiej, że wytwarza się niewiara w życie osobiste nie jako celowość już nawet, ale wprost rzeczywistość.

scientific condition of a poetical mind. Jest to niewątpliwie aksjomat. I niewątpliwie jest to, zwłaszcza z przytoczeniem źródła, bezwzględna, niezawodna w działaniu czerwona szmata dla naszych postępowców. Gdyby nie to, że jest im zupełnie obcą i zupełnie obojętną rzeczą, czym jest poezja, jak żyje, skąd czerpie swe źródła i siły, możnaby powiedzieć, że gdyby im tę samą prawdę przetłumaczyć na inne terminy, widzieliby w niej oni objawienie. Nie mogę teraz analizować Newmanowskiego powiedzenia, ale stanowi ono klucz moich pozycji krytycznych.

Mój tom o Newmanie trzeba będzie bezwzględnie cofnąć i zrobić według całkiem innego planu. Niewątpliwie było to zuchwalstwem przypuszczać, że uda mi się ująć w ciągu tak krótkiego czasu, życie tak zaskaszająco głębokiej jednostki, życie zresztą człowieka, który mówi i myśli wielowiekowem historycznem doświadczeniem.

XX

16. XII.

Co zastajemy? Życie poprzednich pokoleń ludzkich i nasz do niego stosunek. To jest punkt wyjścia mojej filozofii i jej założenie, określające metodę, charakter, stosunki do innych kierunków.

raz na zawsze bez powrotu, bez potrzeby wdzierania się z trudem.

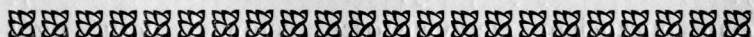
Ośmieliłeś się zaważyć na cudzem życiu: masz dziecko. Nie tylko faktem jesteś, lecz i przyczyną — stwarzasz fakty. Nie wolno ci nie mieć sił. Tu twój najpierwszy sprawdzian. Co ci odbiera siły — jest trucizną.

Niechaj metafizycy wzruszają ramionami: tu jest twój związek z tem, co jest i tędy wkracza w twoje życie powaga istnienia. Tylko tędy. Tu musisz być rzeczywisty.

Tu upadłeś: nie umiesz być już dobrym w domu, kiedyś umiałeś. Nie myśl o sobie. Przestań. Zobaczysz, że ci to ulży. Wiesz o tem. Tylko kiedy mieszkasz myślą w sobie, jesteś tchórzem. Naucz się rozwiązywać drobne zadania równowagi domowej. Robiła ci dobrze atmosfera troski o drobiazgi. Dobrze jest mieć taki pierwiastek łatwo dostępnej prawdy, dziedziny, w której zaraz występuje różnica pomiędzy kłamstwem i prawdą. Staraj się to odzyskać.

Troska codzienna w życiu myśliciela i poety bywa źródłem natchnienia, a przynajmniej pewnej drogocennej strugi krwi w tem natchnieniu. Stąd ją miewał Balzac, stąd Dostojewski.

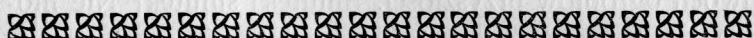
nych. Myślę, że może wyzwoliłoby mnie raz na zawsze jasne wypowiedzenie tego wszystkiego, ale nie czuję się teraz do niczego zdolnym. Żadna książka nie daje mi uczucia asymilacji natychmiastowej, przyrastania myśli i duszy. Właściwie oprócz Sorela, tylko o Meredice, Blake'u i Bergsonie, mogę twierdzić z bezwzględną pewnością, że fenomen miał miejsce. Z dni młodości, pamiętam dni z Buckl'em, Michajłowskim, Haeccklem. Potem silnie zaciężyła na mnie książka Bierdajewa o Michajłowskim „Проблемы идеализма“. Zapoczątkowały one fazę intensywnego wżycia się w idealizm niemiecki. Pamiętam taką chwilę z Schellingiem Kuno-Fischera w kawiarni Udziałowej, podczas oczekiwania na posłańca ulicznego z zaliczką z redakcyi, czy księgarni, gdy literalnie, może jak nigdy przedtem, ani potem, doznałem wrażenia wyjścia z ciała, z siebie. Pamiętam także pewną godzinę jazdy z Otwocka do Warszawy. Godzinę, która raz na zawsze wyzwoliła mnie od naturalizmu. Potem do Sorela nie miałem już tak silnych przeżyć. Musiałbym skontrolować, w jakiś sposób, wrażenia przy czytaniu 4. i 5. tomu *Literatur Słowiańskich* we Lwowie w 1905 r. Więcej zaufania mam do myśli przy czytaniu przedmowy Thodego do *Świętego Franciszka*.



19. XII.

Demokratie Vistas Whitmana — przygnębienie gnienie duszę przy czytaniu. Gdzie miejsce dla nas, dla Polski, w tych perspektywach, gdzie pewność i wreszcie: gdzie potrzeba samej tej pewności. List Whitmana do rosyjskiego tłumacza, poczucie powinowactwa dwóch ogromów przyszłości. Smutek! smutek! Nie można bez zastrzeżeń oddać się człowiekowi, zaufać mu. — A śmieszność myśli, która się boi człowieka, przyszłości jego. Przed laty mówiłem bezlitośnie o Krasińskim — dzisiaj nadszedł jego odwet. Polska dla Whitmana to tylko feudalizm w jego pojęciu i przecież tak jest właściwie. Trzeba myśleć, trzeba przekonywać siebie, trzeba przypominać, że Polska to także warunek nieuproszczanej przyszłości 20 milionów, które miały, mają, lub będą miały nieszczęście urodzić się Polakami. Ale to już inna perspektywa. Niema tu miejsca na oceaniczną bezbojaźliwość, — przeciskać się trzeba szczelinami. Stąd współczucie dla Sorela: i on ma na sobie przeszłość zorganizowaną, rozczłonkowaną, raz na zawsze niezmienną, żyć musi w jej warunkach. To nie zmienia rzeczy, że Whitman się łudził, choć nie do tego stopnia jak to przypuszczałem, pisząc o nim niesprawiedliwie i sucho, jest on mądrzejszy, bardziej „*dix-huitième siècle*“, niż myślałem, — naturalnie to znaczy, że ma w sobie więcej tego elementu, niż myślałem, nie znaczy, aby go ten element określał — ale jego złu-

dzenia nic nie znaczą. Fakt jest, że pomiędzy każdym z nas i błogosławieństwem myśli, leży nieszczęście, rzecz określona, ciasna i uboga. Kasprowicz i Whitman — istotnie to określa. Biedny, oślepy słonecznik i szeroka, żywa, nieogarniona, widząca dusza oceanu w wicherze i słońcu. Biedny oślepy słonecznik!



20. XII.

Naturalnie, kiedy teraz myślę o Anglii XVIII wieku, wiem, że jest to środowisko Blake'a i dlatego widzę je w jego świetle, a jest rzeczą niezmiernie trudną zdać sobie sprawę, gdzie kończy się wpływ tak określony. Ataki na Taine'a: jak gdyby twierdził on, że można z danego środowiska, danego momentu, danej fazy, wydedukować poetę: — co za nonsens! Taine tylko uczył, jak analizować danego poetę na momenty, w celu wyzyskania literatury dla charakterystyki życia przeszłości dziejowej.

Askenazy contra Taine!

Spodziewam się. Pojęcie człowieka, wizja życia w jego powadze i demonizmie nie na rękę sprytnemu dostawcy optymizmu narodowego.

Naturalnie — do Askenazych należy najbliższa przyszłość. Ponad realnem, krwawem życiem rozdartem na przeciwieństwa, płynie wartki prąd uczuć, różnych motywów jednakowych u wszystkich. P. P. S., N. D.,

zony, a więc życie, aby tu istnieć, musiało stać się zdolnem do istnienia, pozyskać prawa. Stąd wypływają wszystkie właściwości zasadnicze. Styl wyklucza wszystko, co każe nam wierzyć w nagłą i ostateczną przemianę w naturze ludzkiej — jednocześnie wyklucza, nieuspołeczniającą, nie »châtiée« naturę. W tem świetle trzeba rozważać tę literaturę.

Gdybym miał wolę, zająłbym się tego rodzaju pracą: niezależnie od wszystkiego, co muszę pisać, by żyć — zacząłbym powoli i spokojnie opracowywać Goethego, nie spiesząc się, ale nie odkładając, posuwając zwolna, ale stale z dnia na dzień znajomość jego pism, zrozumienie jego wewnętrznego życia bez przesady w drobniactwie, ale z precyzją psychologiczną nie zostawiającą nic w stanie frazeologicznie plastycznej. W ten sposób mógłbym stworzyć książkę, która organicznie wchłonęłaby i zaasymilowała całe moje życie duchowe, wszystkie właściwości mojego ja.

Niewątpliwie mam dużo do powiedzenia na usprawiedliwienie mojej nieczynności, apatii i przygnębienia, i to właśnie jest fatalne, że mam tyle obiektywnie słusznych racyi. Co po tej słuszności?

Twoją psią służbą jest pracować, czy masz ochotę czy też nie, czy widzisz cel pracy, czy bez celu.

Skakanie przez kij. Skacz. Nie rezonuj!

Goethe — wiem ile jest nudy, martwoty do przezwyciężenia, ale on ją też przezwyciężał. A niewątpliwie wyrasta on coraz bardziej.

Mój Boże! jak mały, jak żakowsko naiwny jest w $\frac{5}{6}$ swych poruszeń osobistych Byron. Osobista poezya. Tak i nie!

Bo gdyby nie to, że Byronowski egotyzm w poezyi jest inny, niż ego Byrona w życiu, nie moglibyśmy znieść jego rzeczy — chociaż jeszcze nie wiem, co zostanie, co zostałoby, gdybyśmy śmieli, gdybym śmiał i gdybym umiał patrzeć jasno, widzieć szczerze i mówić bez przesady. Gorzkie to złudzenie krytyka.

Ten Brzozowski mówi tylko o spirytyzmie, powiada Zofia Nałkowska. Ona wie napewno, wie jasno, czym jest człowiek!

Requiescat. Kłaść nacisk na podświadome, byle nie używać słów, które kaleczą wolnomysłne uszy.

Jakie nieustraszone są te badawcze dusze.

Co mi po tem wszystkim? Po co to piszę? Już przeszła, skończyła się młodość. Wiek dojrzały zastał bez sił, obciążonego przeszkodami, źle przygotowanego. Już niema atmosfery marzeń. Śmierć może czekać lata, ale potencjalnie, *in idea* stoi za ramieniem.

Co chcesz, co umiesz, co możesz robić? a nade wszystko to, lub tamto — tyle lub mniej robić musisz.

Wszystkie myśli są tak jasne, tak zdumiewająco, aż

do niepotrzebności własnej jasne, gdy je wyłuskać — to jest oczywiste!

Naturalnie.

Ale tej oczywistości nie widzi nikt. Śmieszna tragedia filozofa w Polsce.

Filozof! kiedyś wyparłem się tego tytułu.

Drażnili mnie ci młodzieńcy lwowscy. Nie jestem istotą ucywilizowaną, muszę żyć poza kontrolą — a społecznie.

A zresztą istotnie ten E... nie jest filozofem, jeżeli nim mam być ja. *Vice versa*.

Ale co ma robić filozof w Polsce? Skąd, dokąd, poco? Ciekawa historia. Całe życie niemal człowiek ma myśli, któremi możnaby się przejąć, gdyby była po temu sytuacja. Trzeba więc szukać dla nich sytuacji, wmawiać w siebie, że się ją ma.

Ale jedni drugim psują zabawę.

Jest to już stadyum wyższe.

Stadyum pierwsze, normalne prof. Twardowskiego — bezsytuacyjna myśl normalnie, porządnie wyłożona. *Eccolo!* Filozofia jako wstęp do umiejętnego pisania referatów.

Warszawskie formacje jeszcze rozpaczliwsze.

Cóż n. p. Mahrburg? myśl równie bezsytuacyjna, ale sprzyjająca czemu?

Twardowski ma referaty, to jest grunt, ale co ma Mahrburg?

I^o myśl bezsytuacyjna, ale stwierdzająca, że Mahrburg ma słuszość, a więc bijąca Struvego, Masoniusa etc.

II^o bezsytuacyjna, ale mogąca się podobać postępowemu kościółkowi — to jest wszystko.

U Masoniusa nikt nie dojdzie.

U Abramowskiego niewątpliwie jest już faza II.

Faza III. Myśl musi wyrastać z sytuacji — ale jaką jest ta sytuacja, czy może mieć myśl? To się rozwiązuje łatwo, gdy się jest obywatelem Stanów Zjednoczonych, ale w Polsce?

A przecież moje życie jest przegrane, jeżeli się z tem nie uporam.

Gdybym to wiedział mając lat 20, nawet 25.

Mógłbym to wiedzieć. I naprawdę nie moja to wina, że nie wiedziałem. Moja także, ale nie tylko moja, może nawet przeważnie nie moja.

Ale winien tego?

Tu istotnie winien, czy nie winien: kulka w łeb.

Tow. Daszyński: Ten ma sytuacyjne myśli, ale myli się w określaniu swojej sytuacji. Postępuje logicznie i jak ona mu każe, tylko, że ona jest inna, niż on sądzi.

Aha! tu jest węzeł.

Przedewszystkiem trzeba mieć ową sytuację. I znowu nieprawdą jest, że jej nie mam. Mam, ale nie mogę sobie dać rady z nią.

1. Dlatego, że polega ona na duchowym spleceniu auto-hypnoz i krzyżujących się działań hypnotycznych między pisarzem i publicznością. To ważne. Pisarz pisząc określa dla siebie swą publiczność, będzie ona dla niego już zbiorem ludzi, którzy czytali, przyjęli i uznali to, co on napisał. To może być złudzenie obiektywnie, subiektywnie ten fakt powstaje i działa. Dlatego własna przeszłość pisarska jest tak bardzo wnikliwem, wszędobylskiem przeznaczeniem.

2. Wiem i mogę i umiem mniej, niż wierzyłem, pisząc dotąd.

Trzebaby szczerze rozczarować publiczność i siebie, co do tych 2-ch punktów i wychować siebie do publiczności, która by znała moje prawdziwe myśli, prawdziwą wiedzę, wtedy mógłbym sytuacyjnie pisać.

Ale sytuacyjnie myśleć! Boże, Boże! Trudna to naprawdę rzecz być dzisiaj Polakiem, chcieć myśleć, chcieć pracować.

Gostomski i lud wiejski.

Powiem teraz (*esprit d'escalier*) na czym polega różnica pomiędzy ludem wiejskim a klasą robotniczą. Że ten pierwszy zaspokaja się obierzynami naszej myśli, że przestajemy myśleć odpowiedzialnie, gdy myślimy dla niego t. j. nie myślimy, nie piszemy dla siebie. I dlatego Gostomscy lubią lud wiejski.

Oddawna czułem, że tu, właśnie tu, w tym »wiejskim ludzie« jest mój specyficzny wróg.

Mój! Bo w gruncie nie dbam o nic, tylko o to, co jest myślą i jej wypowiedzeniem.

Gdzie to się kończy, kończy się moje czucie.

Więc w każdym razie nie »wiejski lud«. Albo tak, lecz dla tych, co umieją myśleć sytuacyjnie z niego, nie »dla niego«.

Obierzynki sentymentalne.

Ile kłamstw sprzysięgło się dziś na myśl polską. Żeromski? Niewątpliwie: nietylko myli się, ale i kłamie — nie jest szczery, ale pomimo to on jest dziś najgłębszy, najsilniejszy, najodważniej czujący.

Tu Ortwin nie ma racji.

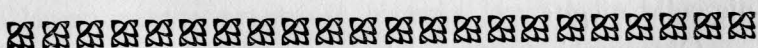
Tembardziej Zrębowicz. Zrębowicz, który chce mieć Cyprjana Norwida bez katolicizmu — ale dość.

XX

23. XII.

Dawid zwracał mi uwagę, że religia jest zawsze współodpowiednikiem siły życiowej. Jest to zupełnie zgodne z moimi pojęciami w tej sprawie. Sądziłbym, że należałoby jeszcze uwzględnić i wyjaśnić stosunki zachodzące pomiędzy tymi momentami a erotyzmem i twórczością artystyczną. Spostrzeżenia nad tem, co może być nazwane — jeżeli wogóle można posługiwać się tego rodzaju uogólnieniami — »narodowym charakte-

rem polskim«, doprowadzają nas do potwierdzenia tych poglądów. W samej rzeczy obojętność religijna, brak energii politycznej, ekonomicznej i niezdolność do tego, co może być nazwane *vie passionelle*, idą tu w parze. Byłoby dobrze istotnie przestudyować chociażby *Ogród fraszek* z piórem w ręku, mając na uwadze te punkty widzenia.



24. XII.

Przekonanie, że nasza epoka ma charakter wybitnie rewolucyjny, niestały, krytyczny jest połączone z niebezpieczeństwami dla naszej kultury osobistej i równowagi umysłowej. Łatwo bowiem wyrasta stąd pokusa niestałości i chwiejności w poglądach, a szczególnie braku jasności w pojęciach. Jestem pewien, że znaczna część osób z kół postępowych nie posiada jasnych i określonych wyobrażeń o najznacniejszej części przedmiotów i zagadnień.

Nie dobrze jest, że gardzę zazwyczaj przykładami z powszedniego życia: n. p. jest rzeczą nielogiczną, nieracjonalną przypisywać szczególne znaczenie miejscu, gdzie się przeżyło coś szczęśliwego, lub znaczącego dla nas; niewątpliwie jest prawdą, że wszystkie miejsca są jednakowe, póki jedno nie zostało wyszczególnione przez przeżycie nasze; tu jednak zostało ono już wyszczególnione. Chwytny w tej drobnostce na gorącym uczynku

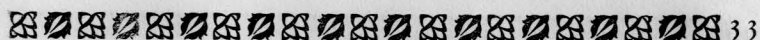
wały sobie sprawy niewątpliwie tylko do pewnego stopnia. Z biegiem czasu jednak niezależność od jakiegokolwiek życia, które jest zawsze alogiczne, — zawsze zacieśnia, określa, — stała się podstawą, ale teraz krytyka przeanalizowała i wywróciła na nice to złudzenie. Fakty myślowe są płodne poprzez życie; by być płodnymi, fakty myślowe muszą należeć i to w pewien specyficzny sposób należeć do życia, przynajmniej już zdolnego istnieć. Stąd problemy higieny osobistej u Nietzschego, higieny dziejowej u Maurrasa, ale tacy ludzie jak Sorel, nie poprzestają na trwaniu (właściwie i Nietzsche nie), — ale tu mi nie idzie o ścisłość w tym kierunku. Musi on dążyć do tworzenia faktów myślowych, które sprzyjają tworzeniu się zespołów życiowych, zdolnych żyć i zwyciężać, a zgodnych z jego zasadniczym postulatem. Ten postulat może być w bezpośredniej sprzeczności, lub tylko inkongruencji z faktami myślowymi, które na razie tworzymy. Konsystencja i konsekwencja logiczna zostają tu zabezpieczone w innej drodze. Jest to, co St. Mendelson nazywa słusznie machiawelizmem Sorela. Jednak jest to rozumny człowiek, ktoś, kogo nie można porównać z tym całym światem Perlów, Konów, Kulczyckich, Haeckerów, którzy umysłowo są bankrutami i w znacznej mierze idą do stronnictw skrajnych, jako tych, w których niewiedza, niechęć myślenia, niechlujstwo kulturalne uchodzić mogą za protest.

jest on? Tu wracamy do punktu wyjścia, do pokrewieństwa: Nietzsche, Sorel, Maurras, ale i Laforgue, Barres, Irzykowski, — ale i Browning.

Meredith — doznaję wrażenia, że to inna sprawa: prawie jak u Goethego, i choć mniej demonicznie skalista, mniej uniwersalna, świeższa i szczerza to forma. Jak określić?... Dość łatwo. W każdym punkcie i w każdym momencie, w każdym drobnym szczególe postępować w myśl nie obniżania poziomu, nie powracania do żadnej sytuacji poprzedniej, lecz żyć czynnie i pogodnie, poza typem, nie tworząc apokalipsy. Nie jestem w stanie nie przyznać, że pomimo wszystko, co czują, tak piękni ludzie, jak drogi mój Witołd Klinger, (daj Boże mu szczęścia i natchnienia, światło niech będzie zawsze w jego myśli, a ciepło nie opuszcza jego serca), — Meredith był głębszym, bardziej religijnym, bardziej po myśli Bożej człowiekiem, niż Tołstoj.

Tak jest, i nie powinienem tracić tej wiary. W niej własna moja uczciwość umysłowa, nadzieja światła i zdrowia.

Mój Boże! Mój Boże! Cztery tomy Mereditha po 9 franków — 36 fr., kiedy zdobędę się na to, by to mieć — a to jest przeszkodą, przecież pisałbym o nim i napisał; — ale moje stanowisko jest tak *à part*, tak ani mazowieckiej, ani krakowskiej, tem mniej już łyczakowsko-holzapflowskiej natury, że tylko surowa i bezwzględna ści-



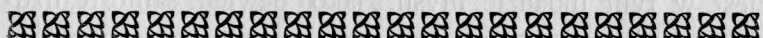
słość i zupełność informacyi mogą i muszą zapewnić posłuch dla mojego zdania.

Ale pomimo wszystko, jesteś winien, ty sam tysiąc razy, bo nie umiesz wyrzec się zainteresowań nie w porę.

Cierp więc i módl się: to jest: myśl ze spokojem o prawach.

O prawach, które, gdy są ogarnięte spokojnie, są już pod tobą — i wtedy świat istotnie staje się twojem wielkiem ciałem, organizmem twojego życia i dusza twoja, skoro tylko zdoła czynną być poza tympem, a odważnie, porusza rzeczy globu.

Gaultier więc tu zbliża się ze swą *Ironie universelle* i może *Bowaryzmem*, ale tylko Meredith żyje w tem powietrzu, w tych gwiazdach i na tym szczycie.



25. XII.

W książce Dawida ważne są dla mnie te stronice, gdzie ukazuje on, że moc, zdolność, siła wykonania, stanowią właściwą podstawę, naturę naszej świadomej woli. Pozostaje to w związku z uwagami poprzedniemi, ale ma także znaczenie dla mojej teoryo-poznawczej analizy pracy. Ma znaczenie i dla innych jeszcze zagadnień i spraw. Np. wciąż jeszcze mnie irytuje błazeńska uwaga Feldmana o mojej analizie teatru Wyspiańskiego. Idzie tu o tego rodzaju związki. Taki W. F. bezwzględnie nie czuje rzeczywistości faktów duchowych, t. j. nie

zdaje sobie sprawy, że wypełniają one równie szczerze pewne granice, jak fakty, zwane materyalne. Są, czem są, czem jedynie mogą być — pewną sumą w pewien sposób, a więc nie w inny, zorganizowanego, zużytego życia. Brak mi tu terminologii, choć tak dawno już myślę o tych przedmiotach.

Heglizm. Jest zasadniczą prawdą heglizmu to, że ujmuje on w sposób abstrakcyjnie-aprioryczny pewne elementarne i głębokie momenty istnienia ludzkiego. Irzykowski, gdyby nie poprzestawał na uprzedzeniach fragmentarycznych, musiałby to zrozumieć. Zarzuca on heglizmowi to, że całe życie ludzkie przedstawione jest w tym układzie myśli, jako pewien samo-realizujący się i samo-stwarzający się właściwie plan. Zwróćmy jednak uwagę na następujące fakty. Każda postać życia, każda postać działalności ludzkiej, staje się warunkiem określającym wszystkie inne fakty życia; będą one odtąd musiały rozwijać się, mieć miejsce nawet, jeżeli nie pod jej wpływem, to w każdym razie w jej obecności. Każda postać działalności, każda forma życia, każdy fakt życia staje się momentem wszystkich innych. Gdy teraz zważymy, że pośród tych wszystkich innych są fakty różnych stałości, ciągłości, zdolności trwania, przekazywania zdobyczy, zaborczości, utrwalania się, — spostrzeżemy, że mamy w nich coś bardzo analogicznego do

ność czynów. Może nawet jeszcze głębiej: bezpowrotność do łączności z ludzkością po pewnych czynach, z bezwzględnej izolacji zła bezwzględnego. Trójca — wyłómaczyłem w *Ideach*: zerwanie z antropomorfizmem, dogmatyzmem, jedyna forma czucia życia, jako życia, t. j.: jako czegoś, co w każdej chwili ma być, co nie jest i nie może być w żadnym pojęciu zamknięte.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby można było, — gdyby sam katolicyzm nie sprzeciwiał się takiemu zakreszeniu granic, — traktować katolicyzm jako wyłącznie ludzkie dzieło, trzeba byłoby przyznać, że zawiera on sumę najgłębszych, najszerszych i najbogatszych prawd, że jest niezwalczony.

Nie może być porównania pomiędzy nim, jako filozofią, a jakąkolwiek inną.

Ale katolicyzm występuje nie jako filozofia, nie jako nauka nawet o nadprzyrodzonym, lecz jako nadprzyrodzony, nadludzki fakt.

Plemię papuzie! Do obrzydliwości powtarzane frazesy o nadczłowieku — tu stoi przed wami rzecz żywa i mówi w każdej chwili: jesteście czemś więcej, niż tem, co wy uważacie za człowieka a nawet za nadczłowieka.

Nie każe nam poprzestawać na teorii, ale tworzy nadludzkie fakty, bo wierzący: Newman, Pascal,

Bernard, setki tysięcy innych żyją i żyli w dziedzinie niemożliwości dla nich zniszczonej.

To samo tu twarde prawo. Jest się lub nie jest. Ma się lub nie ma w sobie tego życia i takiego życia.

Francya XVII wieku, nieustannie powraca w moich myślach. Dlaczego? Być może w znacznej mierze dlatego, że jest to napewno świat inny od wszystkiego tego, co dzisiaj naszą inteligencyę zajmuje, że tu a priori jestem już zabezpieczony: mógłbym odpocząć. Nie potrzebowałbym zwalczać pokus polemicznych, nie byłoby ich. Być może, także instynkt trafnie mi mówi, że jest to przedmiot nie przekraczający zasadniczo moich zdolności. Myśl, racjonalizm, logika, analiza, dedukcya, kompozycya myślowa tu przemagają. Namietność jest opanowana, jest jednak. Może też i *vis medicatrix naturae*: przedmiot ten stałby się dla mnie leczniczą szkołą myśli. Musiałbym znowu wrócić do dawnych nałogów myśli, gdy byłem jeszcze niewprawnym, naiwnym, ale sumienniejszym, niż kiedykolwiek, pisarzem. W *Ideach* spłaciłem dług wdzięczności Przybyszewskiemu, — może więcej niż to: uległem pokusie sentymentu i patosu stylowego, — może także pewne powiedzenie M. Limanowskiego popchnęło mnie. W każdym razie ta sprawa ma i inne strony. Niewątpliwie Przybyszewski był tem dla mojej filozoficznej walki z sobą, com powiedział.

Można przypuszczać, że i bez niego miałoby miejsce zasadniczo to samo. Miałoby, — tu zaś tak właśnie rzeczy miały miejsce. — Nie było bez niego, lecz z nim, ale, powtarzam: było i co innego. Jeżeli na filozofa miał on wpływ ożywiający — to pisarzowi w wielu względach zaszkodził: zanadto przejąłem się myślą, że pisanie, tworzenie, jest to wyrażanie siebie, nie zaś tworzenie jasnych i zdolnych trwać w słowie przedmiotów myślowych. Taine, który przed okresem Przybyszewszczyzny był moim mistrzem w pisarstwie, niewątpliwie utrwalił we mnie pojęcie pisarstwa o tym właśnie charakterze. Prawda, umiałem na razie tworzyć tylko przedmioty à la Taine, ale byłbym się wyzbył tej ograniczoności. Natomiast na cały szereg lat, aż po te dni ostatnie, utracilem z oczu wogóle te perspektywy, cele wysiłku pisarskiego. Przedmiot przestał być kategorią w mem pisaniu, tak, jak nie jest on nią dzisiaj u żadnego wybitniejszego pisarza polskiego młodszej generacji. Tylko Reymont, Sieroszewski, szczególnie ten ostatni, mogą być rozważani z tego punktu widzenia. Biedny i pomimo wszystko szlachetny jako umysł, i silny jako tendencja artystyczna J. A. Kisielewski, miał wycucie swojej odrębności, ale miał za mało siły moralnej, by dojść do całkowitego rozumienia, zbyt łatwo wierzył, że dość jest powiedzieć: »ja jestem klasykiem«, że dość jest chcieć być klasykiem!

Wydaje mi się niewątpliwem, że dla zrozumienia romantyzmu XIX stulecia, trzeba znać dobrze kulturę XVII stulecia, a następnie już z niesłychaną przenikliwością badać kulturę XVII stulecia fakt po fakcie, pozbywszy się przedtem wiary w uznawane i ustalone, otoczone rozgłosem konstrukcye. Trzeba też — o ile wogóle nie uda się zniweczyć naukowo samego tego terminu romantyzm, — wyodrębnić romantyzm XIX stulecia od form pokrewnych, które są, lub też nie są zazwyczaj oznaczone przez to miano. Taka Zofia Nałkowska, osoba, która gdyby chciała się uczyć, gdyby знаła fakty i gdyby naturalnie zdobyła się na odwagę odzyskiwania powolnego sumiennosci intelektualnej, będzie naprawdę wierzyć, że W. Feldman wie wogóle, o c z e m mówi, gdy rzuca ona na los szczęścia swoje »ale«, »a przecież« ex re moich usiłowań stworzenia klasyfikacyi romantyzmu. Niewątpliwie, że to odbiera chęć do pracy.

Romantyzm dla W. F. dla Z. N., dla całej poczciwej polskiej publiczności, to sprawa prosta: od *Obermana* do Micheleta, od Hoffmanna do Stendhala, od Mérimée'go do Leroux lub Novalisa, od Fr. Schlegla do Gautiera, od Mickiewicza do Murgera, od Mazziniego do Heinego, od Baudelaire'a do Carlyle'a, od Słowackiego do Feuerbacha, i od Shelleya do Kl. Brentana — to dla nich wszystko proste i łatwe do ujęcia. Dźwięki raczej niż słowa, rzeczy całkiem nieobecne. Ileż tu od-

cieni rzuca się w oczy przy pierwszym objęciu wzrokiem niedokładnie znanej, a więc uboższej, mniej różnorodnej wielorakości.

Romantycy — to ludzie, którzy wierzą, że ich ja, ich sposób czucia jest sprawdzianem zasadniczym.

Ale jakiego czucia?

Co znaczy być sprawdzianem?

Byron poprzestaje na swoim czuciu. Novalis z niego wysnuwa świat. Nie zdołam dzisiaj mówić o tem. Z umysłu chcę się powstrzymywać od zapisywania obecnie myśli ogólnych. Gdybym mógł, gdybym mógł kształcić się tylko przez rok, przez jeden tylko rok, nie teoretyzowałbym wcale. Dla każdego pisarza romantycznego tworzyłbym odrębny kwestyonaryusz i potem dopiero szukał punktów zbieżności i przecięcia.

Mój Boże, mój Boże! dlaczego nie mogę pracować jakbym mógł, bo mógłbym. Zmieniłbym charakter polskiej literatury na całe pokolenia i byłbym szczęśliwy, ale muszę żyć w ciągłym braku książek i dręczyć się wyrzutami sumienia, gdy się kształcę zamiast pisać. Teraz, przed 6 tygodniami, był mi potrzebny Moliere. S... z Wiednia mieli go wysłać. To rzekomo kulturalni ludzie,

mogliby wiedzieć, co to jest praca pisarza — ale Moliere ciągle jest w »drodze«. Czy przyjdzie? kiedy przyjdzie? Nie będę już miał dla niego moralnie miejsca w moim mikrokosmie, ale nie było przykładu, aby ktokolwiek z moich znajomych, przyjaciół, zwrócił uwagę na moje najusilniejsze prośby, gdy idzie o książki. Komu dziś może być potrzebny Moliere! Oczywiście, to mój kaprys. Czem jest Moliere z punktu widzenia »wagneryanizmu«. Gdybym miał siłę po temu, gdybym miał czas po temu, rozpocząłbym kampanię przeciwko hegemonii niemiecko-modernistycznych punktów widzenia w Polsce. Ta mieszanina rocoła i brutalności, bezdziejowości, pedantyzmu, braku smaku. Bo tu nie chodzi o Kanta, Hegla, Goethego, nie chodzi o niemiecką literaturę. Czy istnieje niemiecka kultura już teraz? Nie wiem i nie użyłem(?) tego wyrazu. Ale to, co przelewa się dzisiaj przez łyczakowskie, zwiedeńszczone, zberlinizowane głowy, nie jest ani niemiecką, ani kulturą. Goethe! E... znajduje, że proza Goethego jest źle pisana po niemiecku, i to szczerze. — Więc po co Moliere? Mój drogi Boże! Labruyere i Pascal, Montaigne i Moliere — jest przecież jeszcze ten świat. Możesz żyć z tymi ludźmi, jeszcze nie zaprzedał duszy dymiącemu się bezładowi sentymentów, zachcianek melodramatycznych, antropomorficznych, jeszcze czujesz i cenisz jasność!

Memento! Umacniaj stosunki z tym światem; wro-

śnij weń. Narzuć go samemu sobie i Polsce. Ten stan rzeczy trwać nie może. Szkoda Nałkowskiej.

Pamiętam minę Dawida, gdym mu mówił, że chcę pisać o S. T. Coleridge'u. To luksus. Naturalnie. Literatura wogóle jest to luksus, jeśli się wierzy w politykę, ale literatura subtelnie, dokładnie z miłością znana literatura, to jedna z najniezawodniejszych dróg, prowadzących do wyzwolenia od brutalnie głupich i deprawujących zabobonów politycznych.

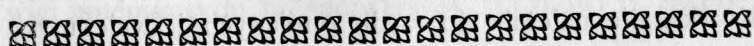
E... nie zadawałby tak bezwzględnie, zaraz, bez wahania i zwłoki pytania, co myślą koła postępowe, z jakich kół? gdyby literatura nie była dla niego wielkiem »abstractum«, gdzie krzyżują się mgliste możliwości. Wyobrażam sobie jak byłby zgorszony Dawid, gdybym chciał drukować za dawnych czasów w *Głosie* o Coleridge'u, albo o Lambie, albo o Ben Jonsonie, albo o Burtonie od *Melancholii* albo o T. Brownie.

Mój Boże, daj mi wytrwać!

Teraz niewątpliwie nawet najzacniejszy, drogi mój Ortwin, jest zły na mnie, że czas trawię i ja sam umiem patrzeć na siebie Jego oczami i jeszcze innymi, surowiej potępiającymi tę »perwersję«, jak mówi E. A. Poe,

frazesem, — występuje w konsekwencji politycznej, nie-
uśląsaności radykalizmu. Zaniedbany wewnętrznie, mało
wrażliwy, nie znający przywiązań, nie ceniący i nie
potrzebujący sztuki, posiada dużo zalet jako polityk.
To są wartości w polityce, w dziennikarstwie, dlatego
niema przymierza z tymi ludźmi. To klęska i szarańcza
intelektualna, nieprzyjaciół prawdy zawsze subtelnej,
sztuki zawsze bezinteresownej, filozofii, której obym
umiał pozostać teraz już przynajmniej wierny.

Poezya Blake'a jest jednym z wyjątkowych wypad-
ków w dziejach ducha ludzkiego. Trzeba tylko ufać
własnemu entuzjazmowi, aby widzieć, że Blake jest
nie tylko natchnionym narzędziem podmuchów nieskoń-
czoności, lecz jasnym i głęboko świadomym własnych
celów umysłem. Jest to dziwna struktura, której plan,
całość można widzieć jedynie w świetle błyskawicy,
ale to jest u nas; u samego Blake'a moment spokoju,
jasnej pewności odgrywał o wiele większą rolę. Bezwą-
pienia nie jest to umysł jasny według rozpowszech-
nionego typu planów i jasności, ale nie trzeba utoż-
samiać odczucia obcości, zadziwienia z naszej strony
z brakiem stałych i świadomych własnych praw, pier-
wiastków w umyśle samego twórcy.



26. XII.

Krytycznie zastanawiając się nad życiem własnem, moglibyśmy odnaleźć w niem moment, gdy przestaliśmy uważać życie nasze za wykonywanie pewnych obiektywnych obowiązków, naśladowanie pewnych obiektywnie istniejących wzorów i dorównywanie im i gdy zaczęła się organizować skłonność widzenia — we własnem naszem zwolnionem od tego rodzaju warunków, sprawdzianów ja: — punktu centralnego. Wiek XVIII był momentem takiego narastania kaprysów. W tem jest jego wdzięk i to trochę sztuczne, trochę pervers, kokieteryjne dzieciństwo, które jest tak pociągające dla pewnych umysłów. Mam tu na myśli XVIII wiek francuski.

Zaciekawia mnie coraz bardziej Wieland.

Powinienem jednak pamiętać, że moje wyobrażenia o XVIII stuleciu zostały uformowane niewątpliwie pod kształtującym wpływem epokowych charakterystyk *Phenomenologii* Hegłowskiej, które działają na mnie tak silnie, że Sainte Beuve zgadza się z Heglem (*sans le savoir*) i naturalnie wspiera jego działalność w moim umyśle.

Pragnąłbym mieć już u siebie znów *Reflexions* So-rela i znów je przeczytać.

Lasserre tytułuje cały szereg rozdziałów swej książki: ruina — ruina jednostki, społeczeństwa. To pewna, że *La ruine de la Cité* tak mógłby być sformułowany charakter najogólniejszy i najbardziej zasadniczy myśli naszej. Ale nie zdajemy sobie z tego sprawy, a to właśnie ze względu na konsekwencję, z jaką katastrofy te się odbywają. Krytyka systematycznie i dogmatycznie oceniająca, wydaje się nam czemś nietylko dla nas niedostępnem ale i niemożliwem *Unding*; krytyka dzisiejsza, krytyka operująca tylko pojęciem przyczynowości, (że tak wyrażę jej rys podstawowy) filozoficznie jest cechą stanu rzeczy, w którym społeczeństwo moralnie nie istnieje w tej dziedzinie umysłowości, która zajmuje się krytycznem rozważaniem literatury i sztuki.

W *The Friend* S. T. Coleridge czyni uwagę, która zrazu wydała mi się nieco dziwną, chociaż odrazu zrozumiałem, że jest w jakiejś mierze słuszna. W tej chwili jednak oświeciła mi się ona. Tak się dzieje z myślami, przypuszczam, że nie tylko u mnie (czytałem tę książkę i ten rozdział jakieś dwa miesiące temu). — Uwaga polega na następującem (mniej-więcej): tylko niejasne myśli stają się przedmiotem naszej czci, działają na uczucie i wolę i powinniśmy dążyć do wyjaśnienia wszystkich myśli, które mogą być całkowicie wyjaśnione — aby w ten sposób mieć tylko czcigodne. Przyszła mi

do głowy ta myśl z powodu zastanowienia nad tem, że często operujemy myślami, których nie analizujemy umyślnie w danem rozumowaniu, chcąc zabezpieczyć pewien charakter uczuciowy wynikowi. Np. bitwa, gdy idzie o Napoleona. Ale uwaga S. T. C-e'a sama przez się jest wielkiej doniosłości, zasługuje na to, by stać się jedną z trwałych metod, metodologicznych punktów widzenia w krytyce literatury i kultury.

Poezya i radość: Coleridge twierdzi, że radość jest pierwiastkiem zasadniczym w poezyi, niema poezyi bez radości; czy więc wszystko w życiu może być radością? — nie. Nie wynika to bynajmniej — ale uświadomienie może być radością, niezależnie od tego, co sobie uświadamiamy. I to może istotnie formułuje warunki poezyi. Istnieje w S. T. Coleridge'u i dyonizyjski — mocny nawet ton, ale jak wszystko u niego lub prawie wszystko: zgąębiony, jakby zepchnięty. Bo w tym dziwnym umyśle — mniej się na baczności — myśli przeszkadzają sobie wzajemnie. Nie przez bogactwo. To paradoks, — ale przez brak woli dostatecznie wszechstronnej i głębokiej. Biedny Tomasz Quincey porównywał szczerze S. T. Coleridge'a z Goethem na niekorzyść tego ostatniego. Jak mało ma w świecie intelektualnym Goethe przyjaciół. Ojciec mój nie lubił go,

ale myślę, że go nie znał. — Biedny mój ojciec — ofiara własnej szlachetczyzny, chaosu woli i myśli!

XX

28. XII.

Niebezpieczeństwo przy czytaniu starych pisarzy polega na tem, że łatwo godzimy się z pewnem powierzchownem rozumieniem ich. Wystarcza nam, że wiemy, co chcieli oni powiedzieć i nie troszczymy się w jakim to stosunku zostaje do rzeczywistości. Odrazu przystępujemy do ich czytania z poczuciem historycznej odległości: nie uważamy ich za źródła aktualnego poznania. Jest bardzo trudno pozbyć się tego wyjąłwiającego czytanie uprzedzenia: nasza apercepcya jest odrazu tak subtelnie, głęboko ukształtowana przez to założenie, że wszystko, co nas dochodzi z tych ksiązek, napotyka mniejszy opór, ale zarazem posiada mniejszą wagę. Dlatego też jest zupełnie prawdopodobnem, że gdy w życiu umysłowem jakiegoś człowieka przeważa ten typ czytania, zwolna wyrabia się w nim pewien niedostrzegalny już dla niego, a przenikający go nawskróś rys powierzchowności. Rys ten może udzielać się całemu życiu umysłowemu t. j. rozpostrzeć się i na te dziedziny, które nie są bezpośrednio z czytaniem związane. W ten sposób tłumaczyłbym psychologicznie różnicę pomiędzy historykiem literatury i krytykiem, i niewątpliwa rozbieżność w ich sposobie widzenia nawet wtedy,

gdy, jeden z nich wkracza w dziedzinę należącą właściwie do drugiego.

Na razie jednak uwaga ta przyszła mi na myśl przy czytaniu G. Bruna teorii platonicznego zachwyty pięk-
nem. Piękno zrazu robi wrażenie, potem przetwarza
i doprowadza do uczestnictwa w swej istocie. Jest nie-
wątpliwą rzeczą przecież, że mamy tu nietylko piękną
myśl, ale i bez względu na to: myśl mającą wartość po-
znawczą, prawdę.

29. XII.

Zasada Irzykowskiego nie zaniedbywania drobnych »nie architektonicznych« przyczyn i tłumaczeń, posiada wielkie znaczenie metodologiczne. Weźmy n. p. historię filozofii — jest rzeczą niewątpliwą, że te pojęcia, które dzisiaj są dla nas szczytem wyszukania i dziwactwa prawie, ukazywały się pewnym ludziom w pewnym czasie, jako najprostszy, lub nawet jedyny opis rzeczywistości — były utożsamione z rzeczywistością. Gdybyśmy teraz szukali przyczyn tego utożsamienia, strzedz się należałoby wysuwania na pierwszy plan wyłącznie tylko »uroczystych« motywów.

Pamiętam kiedy po raz pierwszy spotkałem się z nazwiskiem Samuela Johnsona. Kupiłem na rynku Nie-

mirowskim (t. z. »tołkuczce«) rosyjskie Tyblenowskie wydanie dzieł Macaulaya — brakowało w niem jednego tomu. Jeszcze teraz dość dobrze uprzytomniam sobie ogólne sympatyczne wrażenie pozostawione przez promieniającą ciepłem postać Olivera Goldsmitha. Pamiętam, jaką aureolą otoczone były w mej wyobraźni te mansardy autorskie, w których żyli utrzymywani przez księgarzów jak biali niewolnicy pisarze angielscy XVIII wieku. Nie były to fałszywe uczucia, przeciwnie, powinny one były być rozwijane we mnie. Pisarz powinien kochać swój zawód obyczajowo, powinien być zainteresowany tem wszystkim, co bytowo zrośnięte jest z jego sposobem życia. Nie zdaje mi się, aby na złe wyszło to pisarzom, którzy mieli tego rodzaju właśnie ciepłe, żywe przywiązanie do swego stanu; zdrowszy to o wiele nastrój(?). szerszy i głębszy, moralniejszy i właściwie trudniejszy do zrealizowania, niż abstrakcyjne idealizowanie misji pisarskiej. Uważam to za jeden z sympatyczniejszych dla mnie osobiście rysów mej własnej umysłowości, że posiadałem, — i pomimo niezliczonych fałszów, koturnowości i wykrzywień, które zeszpeciły me życie nie utraciłem go, — posiadam współczucie i szacunek dla tych właśnie pisarzy, którzy w ten sposób zdrowo i silnie czuli się w pisarskiej skórze. Balzac i Walter Scott, Dostojewski, Carlyle — wielcy pracownicy pióra XVIII wieku, ale w mojem życiu przez długie lata wszystko było dep-

tane, zacierane przez atmosferę domową, przesyconą sceptycyzmem, wygodnisiostwem materyalnym, brakiem jakiejkolwiek bądź dyscypliny. W tym właśnie roku, który teraz wspominam, pamiętam wieczory nieskończenie przeciągające się, gdy ojciec zaciągał mnie i brata do gry w winta: pamiętam jego spojrzenie, z jakim krążył on koło mnie nielitościwie nie zważając czy czytam, piszę, nie zważając na to, że tak wymownie »nie widziałem« jego zabiegów. Było mi go żal i nie mogłem się oprzeć: wyrzucałem sobie i to, że siadałem do gry, i to, że siadałem niechętnie. Pamiętam, w tym roku po raz pierwszy »zrealizowałem«, jak mówi Newman, co znaczy materyalizm i niewiara w nieśmiertelność duszy i już od 2 lat napastowały mnie wątpliwości — a właściwie silne ataki strachu i rozpacz związanych z przedmiotami religijnymi. Teraz już nie umiem wywołać ich z pamięci. Wiem jednak, że napewno cierpiełem, chociaż także napewno już wiedziałem, że byłoby to rzeczą interesującą cierpieć. Ale myślę, że było dużo szczerości i siły w tych przeżyciach. Zdaje mi się, że najsilniej uczuciowo doznawałem tych stanów latem między 15 a 16 rokiem mego życia, to jest zapewne w 1893—1894 roku. Wspomnienia, od których zacząłem, związane są z rokiem 1895. W tym roku niewątpliwie zapoznałem się do pewnego stopnia z Darwinem t. j. przeczytałem kilka rozdziałów z *Pochodzenia gatunków*. Zrozumiałem ogólną myśl

i charakter jego stanowiska. Pierwszą silną konsekwencją, (choć dzisiaj nie umiem sobie zdać sprawy z przebiegu) było osłabienie uczuć patryotycznych — kosmopolityzm. Zdaje się, że nie mylę się, gdy sądzę, że i Stanisław Dybczyński, ten z moich kolegów, do którego pod pewnymi względami najmocniej byłem przywiązany, w ten sposób też przeżył pierwszą znajomość z darwinizmem. Darwinista stało się u nas kategorią towarzyską: klasyfikowaliśmy ludzi w myśl ich domniemanego stosunku do tej teorii.

Myślę, że byłem zakochany w Dybczyńskim i teraz czytając dzienniki i listy Byrona doznawałem wrażenia niejednokrotnie, że znam ja przecież tego rodzaju dasy i fochy myślowe. Dybczyński stoi mi przed oczami gdy myślę o Byronie. Sądzę, że był to istotnie niepospolity młodzieniec.

Ojciec mój raz jeden — biedaczysko — musiało to być w jednym z jego rozczuleń poobiednich — kupił mi za jakieś 40 rubli książek, jakie mu wepchnął księgarz — ale szkoda, że nie umiałem wtedy korzystać z tych książek jakie były w ojca mojego zbiorze. Mogłem być z nich wynieść o wiele żywszą znajomość polskiej historii i literatury. Dziś skarbem byłby dla mnie Szajnocha, Siemieński, Bartoszewicz, Bobrzyński, Baliński, wówczas nie umiałem z tego korzystać. Nie umiałem w tym okresie wyczuć żadnego związku między

Polską a mojemu nowymi ideami. Przeciwnie: idee odprowadzały mnie coraz dalej od polskości i postępy mierzyłem tą odległością. Ale gdyby był ktoś naprawdę zainteresował się moimi myślami i troskami — może mógłby być pozyskać wpływ. Właściwie jako umysłem interesował się mną tylko mój nauczyciel rosyjskiej literatury, który i dzisiaj jeszcze podobno mnie wspomina — Filip Andrejewicz Werowski, — a także mam wrażenie, że o wiele wcześniej jakiś artystyczny interes musiałem wzbudzać w Wasyliwie, nauczycielu w Lublinie. Psychologia tego ostatniego zajmuje mnie teraz często; myślę, że gdybym miał wytrwałość — zacząłbym wierzyć, że mam pomimo niegodziwego wychowania i rabunkowej gospodarki — więcej talentu, niż skłonny byłem ostatnio mniemać i to może właśnie powieściopisarskiego a raczej duszotwórczego à la R. Browning talentu — mógłbym z tej postaci stworzyć coś trwałego. Nawiasem: Browning, niewątpliwie on jest mi bliski. Daj mi Boże siły i wytrwania, pozwól nie myśleć o drobnych ukłuciu, o braku sympatii, o gorzkiej samotności, a może przecież zrobię coś jeszcze, co w moich własnych oczach da mi trwałe zadowolenie, nie chwiejne poczucie siły to znowu zupełne unicestwienie dumy.

Browning, Blake, Hegel, przecież czuję, a nawet wiem, że mam o tych ludziach dużo do powiedzenia, że ich znam, że są to dla mnie żywi ludzie. Le-

mański! Krytyk też jest twórcą. Głęboko stwarza swój świat — ale u nas za dużo jest krytyki. Wiem, że mam mnóstwo braków — ale przecież nie może być mojem złudzeniem, że jako pisarz-mysliciel, nigdy nie jestem zasadniczo w złej wierze. To nie może nie być wyczuwane. Gdybym mógł rok czasu przeżyć, mając wszystkie książki, jakichbym pragnął i spokój, nie napisałbym może dużo, ale napisałbym jakieś kilkadziesiąt stronic, które dałyby moją miarę.

Wstydz się. Wstydz się naprawdę. Ale taka jest prawda: długo i bardzo, śmiesznie długo ją trzymać się we mnie każdy dowód złej woli wobec moich pism — i to chyba nie jest złudzenie, chociaż przemawia to na moją korzyść, że boli mię to właściwie, co godzi w moją filozofię i krytykę, t. j. to, o czym wiem napewno, że jest pracą. Chciałbym być pewnym tego uczucia, byłoby to zdrowie na dnie słabości, ale nigdy nie można wyczuciom tego rodzaju ufać.

Bo nigdy nie prowadzi do dobrego tego rodzaju zgłębianie: myśleć tylko o zdrowiu, o jego prawach, zatapiać się myślą w surowe prawa zdrowia myślowego i życiowego: ambicya nie da się stłumić, powinno się ją wyzyskać w tym kierunku. Nie zaszkodzi cieszyć się ze słabych chociaż oznak zdrowia, jeżeli się ma o tem ostatniem pojęcie prawdziwe. Nie trzeba się bać tego rodzaju wewnętrznego snobizmu. Pani czy panna How, czy Hove, miała rację: Chesterton ma

przykrą manierę, ale mówi on nieraz w formie paradoksów, rzeczy głębokiej prawdy. Teraz myślę o jego obrazie próżności w zestawieniu z dumą.

Snobizmem jest teraz znaczna część mojego zadowolenia z czytania Ben Jonsona — ale nim dojdę do końca I. tomu, niewątpliwie będę miał już głębsze i uczciwsze związki i zainteresowania w jego świecie.

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

30. XII.

Czy Byron tylko pozował, przeciwstawiając Pope'a swojej generacji poetów? Aby na to pytanie odpowiedzieć — trzeba przedewszystkiem znać Pope'a, a znać, nie znaczy to czytać, jak miałem to niedawno sposobność zanotować w tym dzienniku, pisząc o historycznym i krytycznym sposobie czytania. Wogóle pewien pseudoklasycyzm i banicya umysłowa związane z nim, ustąpić muszą i ustępują wszędzie prócz głów niedobitków radykalizmu jeszcze pasożytujących na naszej nędzy. Kogo n. p. dziś obchodzi, czy Swift był pseudo-klaszykiem. Z prawdziwą niecierpliwością czekam chwili, gdy w *Everymans Library* zostanie wydrukowana i stanie się przez to dostępna dla mnie proza krytyczna Drydena. Szczególniej, właśnie pewna grupa umysłów,

pisarzów pozostających niejako na pograniczu, jak Dryden, jak Monti nawet, nie mówiąc już o Alfierim, bezwzględnie stawiają w mej myśli opór przeciwko szematycznemu klasyfikowaniu i przechodzeniu do porządku. Więc i Pope. Ale pomijam już to, pomijam, że powinniśmy nauczyć się odnajdywania osobistości poza przedmiotowymi nieosobistymi sposobami wypowiedzienia. Przecież taki Swift, poprostu wibruje namiętnością, przeraża skoncentrowaniem i intensywnością osobistości. Jakim przepysznym okazem ludzkiej natury, jaką wspaniałą indywidualnością jest Dr. S. Johnson, dzięki nieocenionemu Boswellowi, który w rzeczy samej ma prawo do mojej przynajmniej wdzięczności, nie o wiele mniejsze niż Saint-Simon — mówię o *ducu*, — jak Cellini, Gozzi, i w każdym razie, choć zdala tegoż rzędu co Balzac. Ale tu o Byronie. Otóż: czy Byron był w tem samem znaczeniu romantykiem, co np. Shelley, lub Coleridge. Nie. Shelley jest blizki Coleridge'owi. Byron prawie całkowicie obcy. Również Blake'owi. Byłoby dobrze doprowadzić do jasności to określenie romantyzmu, które teraz zarysowało się którejs nocy w moim umyśle. Ma ono analogię z Paterowskim — ale jest inne. Jest inne, ponieważ kwestyonuje w tych punktach, które dla Patera były stałe. Pater podkreśla interes treści, pierwiastek ciekawości, jako moment rozstrzygający. Sądzę, że intelektualizuje on. Nie w tym stopniu, w jakim mogą mniemać ludzie

nie zdający sobie sprawy z tego, jak życiowym, w jakie doświadczenia wnikającym jest intelektualizm Paterowski, co dla niego jest faktem, elementem doświadczenia. Niewątpliwie faktami są dla niego, nie tracąc swego żaru, swej chemicznej, silnie działającej na duszę natury, takie przeżycia, jak tęsknoty moralne, nostalgje, wartości poznawcze prawdy, dążenie do niej: wszystko to w charakterze przeżycia jest zarazem faktem i to połączenie bardzo silnej osobistej kultury wzruszeniowej z tego rodzaju stanowiskiem sprawia, że styl Patera jest tak malaryczny, że są w nim dreszcze, gorączka podskórna, błogie pragnienie, niepokojąca duszna rozkosz — słowem, że wszystko tu jest po wierzchu i tylko myślą, w głębi jest to świat chory, gorączkowy, okrutny i zły. Jest tu niewątpliwy dla mnie ten pierwiastek. Benson (biograf W. P.), i zdaje się Shadwell nie umieli ocenić portretu Watteau, nie chcieli zrozumieć. Tu już prawie Dostojewszczyzną pachnie. Istnieje tu sadyzm dziwnej odmiany: w odbarwianiu z krwi i wzruszenia postaci tej, która pisze. Potem *Sebastyan Storck*. W ogóle jest to serya, którą trzeba analizować inaczej, pamiętając o Dostojewskim lub chociażby o Baudelaire. Chciałem wymienić Nietzschego, ale postanowiłem unikać go, póki nie poddam się nowej konfrontacji z jego pismami. Jestem w fazie umyślnego, ale pozornie tylko umyślnego krytycyzmu wobec niego. To zjawisko pozornej umyślności jest dla mnie charakterystyczne:

(Strzedz się Mereżkowszczyzny).

klasycyzm nie kwestyonuje tej tożsamości.

Z tego punktu widzenia Byron wyrażał stan duszy, umożliwiając romantyzm — kwestyonował to, co stawiało opór indywidualnym procesom i nadawało raz na zawsze określone znaczenie życiu ludzkiemu — ale poza tem, samego procesu romantycznego, twórczości zmieniającej w nim samą treść człowieka, życie ludzkie, nie można odnaleźć w tem znaczeniu co np. u Blake'a, Coleridge'a, nawet Wordswortha, nawet Lamba. Romantycznym był jego temat, on sam, ale twórczość jego podobniejsza była do pro-

cesów umysłowych Pope'a, Montiego, Alfieriego, potem Włochów XVI stulecia, niż do współczesnych. Co myśleć o tem powiedzeniu Norwidowskiem: Sokrates poetów? Nie pozwolić, by w umyśle moim Norwid stał się martwą, frazeologiczną fikcją. Analizować. Tu jest obecnie jedno z dojrzałych moich zadań.

XX

31. XII.

Z pewnością mylnie dotąd układałem plany opracowania Newmana, mylnie, gdyż — zawsze ulegam instynktownie działającym a zakorzenionym, gdyż wyrobionym przez nieustanne spostrzeżenia dnia powszedniego, przez cały tryb polskiego życia — pojęciom o życiu. Chrześcijaństwo, katolicyzm, kościół, religia, są w naszym życiu obecnem sprawami istniejącemi bezwzględnie na zewnątrz literatury, filozofii, nauki, wszystkiego, co stanowi kulturę. Możemy mówić o stosunkach kultury do chrześcijaństwa, kościoła etc. — ale gdy mamy do czynienia z typami życia, w których związek ten jest organiczny, gdy mamy do czynienia z typami, w których zostaje realizowana cała potężna idea chrześcijaństwa, kościoła, jest to dla nas świat, w którym nie umiemy się oryentować. Newman uważał kościół za sumę życia ludzkości, z niego brało źródło wszystko, co jest życiem, wszystko co jest człowiekiem. Kościół był jego definicyą człowieka, gdyż tylko fakt kościoła

odpowiadał mu na pytanie: czem jest człowiek we wszechświecie, jak możliwem jest coś takiego, jak życie ludzkie. To też gdy w moim artykule — dopiero w 2—3 miesiące po przeczytaniu go nauczyłem się go cenić, — i jeżeli jest słuszne, jak myślę, że tego rodzaju powolne dojrzewanie myśli, wrażeń, jest cechą rzetelności myśli, — Newman w stosunku do mnie, działa zawsze w ten sposób. Nie zdaje sobie sprawy przy czytaniu, co zachodzi we mnie, a nawet, że coś zachodzi, ale po długim czasie odnajduję w sobie myśli, które dopiero po analizie i zastanowieniu, wykazują swój rodowód z dzieł Newmana. Nie jest to już powierzchowne życzenie mieć i znać Newmana w zupełności. Teraz już wiem, że gdy dyskutuje on o kwestyach angielskiej organizacji kościelnej, angielskiego życia umysłowego, to nie zmienia to nic w tej niezawodnej prawdzie, że właściwie zajmuje się on tylko w sposób dojrzały, wyrobiony, a więc subtelnie konkretny — całkowitem zagadnieniem człowieka. Teraz więc już nie jestem w stanie traktować poezyi Newmana, ani tych jego pism o kulturze uniwersyteckiej, których nie znam, jako czegoś przypadkowego. Myślę, że strasznie skrzywdziłbym ten umysł. Kościół był dla niego prawem życia umysłu ludzkiego, ale nie będzie rzeczą słuszną przedstawić samą tylko jego pracę nad wyjaśnieniem i upodstawowaniem tego prawa, pomijając jego wyniki, przykłady jego chrze-

ścijańskiej kultury in concreto. Także trzeba zająć się jego studium o Cyceronie.

B. B. i jego T. z pogardą mówili o Cyceronie. Ile potrzeba czasu, by zrozumieć, jak trudną, rzadką, jak głęboko ważną i jak przedziwnie moralną rzeczą jest »urbanité« wytworna uprzejmość myśli. Newman wiedział, że chrześcijaństwo ze swoim »moi est haissable« obcinaniem dzikich pędów starego Adama, jest w gruncie rzeczy attyckie, humanistyczne; chrześcijaństwo, a przynajmniej k a t o l i c y z m jest najrzetelniejszą, o wiele rzetelniejszą i o wiele zupełniejszą, niż renesans spuścizną klasycznej starożytności. Ile głupstw i to głupstw, które stają się nietykalnemi, obarcza umysły nasze. Le-mański jednak będzie i nadal wyrzekał na krytykę, uważał ją za zbytęcną, szkodliwą, nieplodną.

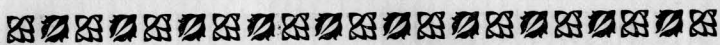
Trzeba, nie odkładając, zacząć czytać *Pastora* i o ile się da, Sarpiego i Pallaviciniego. Trzeba zdobyć prawa zabrania głosu w tej sprawie, najważniejszej dzisiaj może dla nas.

Przy przerzucaniu zapisanych kartek, wpadło mi w oko nazwisko Michajłowskiego; jak pięknie byłem młodym, gdy go czytał. Nie zmieni już nic

tego faktu, że dużo najświeższych moich wzruszeń, najmłodszych, najszczerzych moich myśli, zrosło się z temi nazwiskami. Zresztą krzywdzimy tych ludzi. Pisarew wart jest nie mniej, niż Stirner, zapewne dużo więcej. Michajłowskiego można czytać obok Proudhona, Carlyle'a. Bieliński, Dobrolubow, Czernyszewski, mniej niewątpliwie genialni, mniej świetni myślowo (może teraz krzywdzę Bielińskiego), nie mniej zasługują na uwagę i studia, niż essayiści angielscy lub francuscy. A drogi mój Gleb Uspieński. Stałoby się to z krzywdą mej duszy, gdybym dał ich steroryzować i zapomniał o tych pierwszych moich nauczycielach. Pamiętam jeszcze wrażenie przy czytaniu *Ojców i Dzieci* Turgeniewa. Co za książka! Nie znam rzeczy tak harmonijnie tragicznej i ludzkiej w literaturze tego rodzaju. Ale wtedy, w 15-m roku, wydawało mi się, że po raz pierwszy spotkałem się z mową dorosłych ludzi. *The brain*, jak mówi Meredith, — po raz pierwszy spotkałem się z tym żywiołem we mnie, w czytaniu. Dotąd myśl, to było coś, czego ja nie znajdowałem sam przez się w sobie, coś uroczystego, nudnego i pokornie znośłem ten stan rzeczy. Nagle książka z myślą, która mówiła to właśnie, co mnie interesowało, poruszała się we mnie i poza mną jednocześnie. Potem *Zbrodnia i kara*; nie wierzyłem oczom, że to jest napisane, że mogą istnieć strony tak przyspieszające sam proces wewnętrznego istnienia. Zdaje się, że nie rozumiałem *Idyoty*, ani

Biesów ani Podrostka. Karamazowych nie mogłem dokończyć. Ale „Преступление и наказание“ umiałem czytać ze 20 razy i wiem, że byłem zaczął czytać którąkolwiek książkę tego pisarza, już jej nie rzucę — póki jej nie pochłonę całej zawsze z gorączką wewnętrzną, poruszeniem całej istoty, zawsze odnajdując, że ci ludzie się znów zmienili, że zmieniły się akcenty ich mowy. Balzac ma podobną władzę nademną, ale nie w tym stopniu; myślę nawet, że Dickens mógłby pozyskać najprędzej wpływ równie silny i teraz będę miał sposobność się o tem przekonać. Nieodwołalnie postanowiłem przestudyować gruntownie wszystko, co on napisał. Sądzę także, że byłem się zmusił, W. Scott może mi dać dużo szczęścia, zdrowia duchowego i zadowolenia — ale trzeba mieć te książki. Saint-Simona chcę czytać i pewno będę. Są w Polsce ludzie, mający 25—30 lat i sądzący, że znają dobrze, nawet świetnie literaturę. Czytam Hoffmana, obok dwóch Johnsonów, (właściwie Ben był bez h).

Bruno: — był on na szczęście głębszy, niż popularny przesąd go przedstawia; w istocie, był on przecież platonikiem, idealistą — wierzył w ducha, w żadnym razie nie prekursor Haeckla i wszystkich tych chamów masoneryi i niewiary.



Nie wiem, jak jest w malarstwie, muzyce, innych gałęziach twórczości — wiem jak jest w literaturze — w tych wszystkich formach, które tworzą w słowie. Tu zależność od epoki, związek z nią, są przerażająco subtelne, wnikają w najwęższe rozgałęzienia, w sieci całkiem niedostrzegalnych żyłek i tkanek. Irzykowski! Nie chce on widzieć poprostu faktów. Gdy chcemy tworzyć w słowie, ukazuje się ono nam zawsze, jako to, czym jest ono w znanym nam społeczeństwie. — Słowo ma znaczenie wynikające z życia, jakie nas otacza i gdy chcemy nadać mu znaczenie obce, odmienne, nie spotykane w tem życiu, jest to praca prawie nadludzka, może niewykonalna. Twarda to i oporna materya. Znaczenie »słowa« wrasta w nas przez sam proces życia — jest ono tem dla nas, czym je to życie uczyniło. Proszę: spróbujcie napisać teraz komedię à la Ben Jonson, dramat à la Massinger, à la Racine, o ile jesteście głębokim i szczerym człowiekiem, nie zdołacie stworzyć nawet zadawalającego pozoru. Łatwą rzeczą byłoby życie, gdybyśmy mogli być tak vogelfrei. Niestety, zastajemy istotnie świat, zastajemy siebie, ale w innem znaczeniu, niż to Avenarius przedstawia. Człowiek kulturalny nie może nauczyć się myśleć biologicznie o swoim życiu, o samym sobie, jako o czemś nietylko poważnem, ale niezmiernie rzeczywistem, w sensie, jaki uwydatnić chce J. H. N., gdy mówi, że ma tylko siebie i nie może siebie odrzucić, bo nie

miałby czem zastąpić. On sam już niewątpliwie rozszerzał to i na życie zbiorowe (tekst, w którym mówi on o wyrzekaniu na swoją epokę, jako słabości), i trzeba się przeniknąć tą myślą, a jest trudno ją nawet dobrze zrozumieć: — że nie możemy odrzucić swojej epoki, nie możemy odrzucić historii — historii ludzkości, jako ostatniego i najgłębszego dzieła, gdyż nie mielibyśmy ich czem zastąpić. To tylko ma człowiek. Słowo nie ma absolutnych pozahistorycznych znaczeń. Jest to zawsze ułomny i ograniczony twór życia: ułomny i ograniczony nawet, gdy rozważamy je jako dzieło całego gatunku, ale jedyny. Rzeczywistość człowieka jest względna, niegotowa, nieskończona, niema żadnej gotowej, skończonej, zamkniętej rzeczywistości.

Przy rozważaniu Bradleya i jego »absolutu«, nie tracić z oczu tych punktów widzenia. Jest bowiem ciekawe, że często stają się podziemnymi, zapadają gdzieś najważniejsze w danym momencie punkty widzenia.

Dr. Biegeleisen kazał mi czytać Bradley'a. Być może, będzie to z mojej strony niesprawiedliwe i jest ryzykowne, ale robi to takie wrażenie, jak gdyby wyszukał on właśnie nazwisko, którego ja nie wymieniłem. Brak wszelkiej wspianiałomyślności w tem, co lu-

dzie piszą o moich pracach, jest zjawiskiem powszedniem. Lange i Chlebowski są wyjątkami. Trząśłem się całym ciałem i w nocy dostałem ataku spazmatycznego po artykule Chlebowskiego. Niewątpliwie był to czyn. Heine chwali jakiegoś cesarza, który posłał Lutrowi puhar wina. Chlebowski zrobił coś podobnego. Niech Bóg mu da wszystko dobre. I myślę właśnie, że to jest coś więcej, niż piękny zwrot.

Gdy przenikniemy się Myersowskimi, Bergsonowskimi pojęciami o naturze ludzkiej, inne znaczenie przybierają te wszystkie rzeczy. Ciekawe, dla czego faktycznie wolno bez kompromitacyi nie myśleć o takich pisarzach jak Myers. Myers już conajmniej jest dziś takim nowatorem, jak w swoim czasie Bruno. Ale tacy Nałkowscy nawet zbudowaliby dla niego stos. »Ten Brzozowski«, mówiła Z. R. Nałk. »rozmawia tylko o spirytyzmie«. To mówiła poetka, osoba o kulturalnym naprawdę zakroju natury, po rozmowie, w której starałem się ukazać jej świat poetycki Mereditha i Browninga, niewątpliwie dotąd dla niej obcy.

Nie powinienem być tchórzem i napisać o Myersie.

Wiek XIX. stulecie nadziei nadludzkich i wiar poronionych. Nie umiemy żyć jeszcze po oswojeniu się

z faktami, że tak jest, że niema żadnego sposobu, by życie ludzkie stało się czemś innem, niż życie. W tym wieku nie umiano myśleć o życzeniach jako nie dających się urzeczywistnić. Mieć odwagę, to znaczyło wierzyć, że każde życzenie jest do urzeczywistnienia. Znaczyło to stworzyć system racjonalnej nadziei dla każdego życzenia. Być rozczarowanym to znaczyło nie wierzyć w żaden z tych systematów, to znaczyło widzieć tylko spalenisko tych wmówień usiłujących przekonać, że człowiek może być czemkolwiek bądź zechce, bez ograniczeń. Dzisiaj jest trudno wywlec duszę z wszystkich tych subtelnych ścieżek i powikłań błędu. To, co jest najelementarniejsze, staje się dostępnem jedynie jako szczyt sztuczności. Schemat tymczasowy: od XVI stulecia jest już pewne, że człowiek, o ile jest on reprezentowany przez europejski Zachód, wyszedł poza granicę, obręb wszelkich dotychczasowych form. Na razie przynajmniej u pewnych natur przemaga uczucie tryumfalnego lub rzecz rzadka: i droższego — zdrowego t. j. obywającego się bez chorób (?) a podniecającego i podnoszącego duszę aż na szczyt radości — oczekiwania. Szekspir *in idea*. U innych przemagają międzycząstkowe pierwiastki oczekiwania, interesy są ześrodkowane na pewnej dziedzinie, wtedy daje się to pogodzić z przywiązaniem do pewnych określonych form. Wreszcie bywają wypadki, gdy przeważa poczucie zguby istniejącego. Machiavelli z pewnych punktów

najtragiczniejszy: — niemożność brania udziału w tem nowem życiu. Co tak wzniosło Anglię: wiara w dokonane organicznie odrodzenie zbiorowe (reformacja) — (bez przeciwieństwa na razie z innymi faktami, przeciwnie: jako jedno i to samo). Zawsze ulubieńcy dziejów, dalej typy (?), gdy już rozdwojenie i rozdarcie wystąpiły silnie — życie stało się ciekawe, pełne intelektualnych rozkoszy i niebezpieczne (modlitwa czy prośba do przypadku Lionarda). Niebezpieczeństwo nietylko zewnętrzne, lecz i moralne; tragiczna dusza Michała Anioła — nie bądź tchórzem, napisz, co o nim myślisz, za podstawę biorąc tylko literaturę, poezję, listy. W tem niebezpieczeństwie ci, co nie mają moralnej jego natury a są uzbrojeni wobec zewnętrznych. Benvenuto Cellini — nie zrównany, awanturnicy, którzy już mają w sobie romantyzm — nadzieję, chimere — Campanella; Bruno, porównaj z Piki'em (nie wiem, jak wypadnie, źle, słabo z czwartej ręki znam Pica). Wreszcie Galileusz — nauka zostaje wywikłana z awanturniczej przedsiębiorczości — to różnica między Galileuszem a Baconem. Zwolna wyrasta świat stały coraz bardziej określony. Wiek XVII. — porządek państwowy staje się warunkiem, wśród którego myśl musi istnieć. Różne formacje — Kartezjusz, Hobbes, Spinoza, w formie organicznej wiek Ludwika XIV, wielki wiek Francji. Trzeba dalej snuć tę analizę, ale dziś już przestaje ona mnie bezpośrednio ożywiać

a tu zapisuję myśli tylko *sub specie* poruszenia duchowego, nie jako materyał erudycji.

Bezwzględne samopoznanie, jako tożsamość poznającego i poznawanego — do tego dąży wszelka dyalektyka, ale linia, która prowadzi do Sorela i Mereditha jest do dziś dnia zapoznana, jak gdyby nie istniała ona. W porządku rzeczy.

1911.

2. I.

W studyach greckich W. Patera przewija się przez całość książki pewna zasadnicza i silna myśl filozoficzna: człowiek zrazu rozplawia własne swe życie w naturze, żyje podziemnem życiem dojrzewającego ziarna, pęczniejących soków roślinnych, strumieni wody: jego wzruszenia i myśli stają się tem pozornie niehumanitarnym, kosmicznym, szerszym, niż człowiek życiem. Ale z wolna ujawnia się coraz bardziej ludzka natura — antropomorfizm ukryty staje się jawnym. Świat kosmicznych symboli wrasta w pień doryckiego posagu samotnej ludzkości, która nie znajduje i nie może znaleźć niczego, coby prowadziło ją poza nią istotnie. Tylko nieświadomione, nieopanowane życie duszy i uczucia, posiada

naiwną świeżość fal kosmicznych, pulsowania natury; gdy życie to dojrzewa do świadomości, znika ten czar. Jest niewątpliwie, że wiąże się to z osobistą naturą wewnętrznych potrzeb i tęsknot Waltera Patera, z tem, co możnaby nazwać jego sakramentalną nostalgią. — *Child in house* — to, co mówi Benson. Znaczenie obrzędów w *Maryuszu*. O sakramentalnym poglądzie na naturę nie znam silniejszej stronicy, niż w *Sir Percivalu Shorthouse'a*.

Jest w mojem życiu pisarskiem czas, do którego wracam zawsze z miłą pamięcią i modlę się, t. j. siły życiowe skupić usiłuję przez rozpamiętywanie praw i faktów życia, by danem mi było wrócić znowu do tego stanu. Był to czas pracy cięższej, niż kiedykolwiek, ale jakie zdrowie, jakie mięśniowe niemal dobre sumienie było wtedy w moim prawie wyrobniczym mozole. Może pamiętać dlatego tak wraca, że był to pierwszy czas mojego życia z Tobą, Toniu moja droga, która nigdy nie zrozumiesz, czem jesteś dla mnie, gdyż nigdy nie chcesz zrozumieć, kim ja jestem. O! ja teraz nie myślę o talencie. Mój Boże, za to ci przynajmniej (?) jestem wdzięczny, że duma moja jest niezależna od faktu, iż umiem układać zdania, że nie potrzebuję ciągle, nieustannie myśleć o swoim pisarstwie, że nie mam zmysłu dla drobnej polityki podnoszenia swej wartości na giełdzie opinii.

Nie. Ale ja jako człowiek. Mnie jest potrzebna praca i poczucie, że jest ona wydajna i gdy tego nie mam, jestem niczem, ale gdy nachodzą na mnie dni niepłodności, nikt nie znajduje instynktu, któryby mu wskazał, co ma mówić, jak się ma zachować wobec mnie. Wtedy jestem sam, czuję się na wieki przeklętym i nie umiem oprzeć się mniemaniu, że nawet Tonia patrzy na mnie z litością jak na chore zwierzę, które właściwie mogłoby być dorznięte. Ja nie znoszę tej dobroci. Tej litości. To mnie zabija. Ja nie znoszę tego, że mówi mi się: »nikt nie może od ciebie wymagać więcej«. Odemnie trzeba wymagać, żądać i wynagradzać uśmiechem i pogodnym brzmieniem głosu, ale za nic nigdy nie rezygnować, gdyż ja się męczę bezczynnością, bo ja to odczuwam jako obiektywny sąd, że już jestem złamany, że ktoś słyszał trzask kolumny pacierzowej i że choć jeszcze nie wiem, już nie wstanę. Humoru pracy codziennej, ożywczej, rzeźkiej. Wyrobić go znów, nie stracić, to modlitwa moja. Kant z walki z chorobą swoją stworzył swą wielkość — miał wroga — naturę w swoim organizmie: heroizm ma wszędzie miejsce — właśnie trzeba go znajdować w tych jego postaciach. Johnson, Michał Anioł, wszyscy oni potężni, wydobywali pracę z otchłani organicznej niechęci, niemocy, dźwigali ją. Niema twórczości, ani pracy w spokoju — jest to zawsze gorączka z zenitem i nadirem. To jest określenie człowieka — jego natura. Tak się zachwycasz Bergsona

filozofią, a nie chcesz zrozumieć, że to właśnie jej prawda: ten rwący się, rozsypujący się w popiół i ohydę ogień, to ciągle poczynanie, nigdy dna, nigdy przystani, wieczny bezład i wieczna walka z rumowiskami, to jest człowiek. Jeszcze nie zginąłeś, jeszcze nie straciłeś prężności myśli — teraz skup siły. Zrób Machiavella, Bruna, Vica, byś Ty był z tego zadowolony, urośniesz znowu dla siebie, jako pracownika — wtedy dasz radę Słowackiemu, opuści cię tchórzostwo. Ale gdyby było możliwe, gdyby było możliwe, żeby Tonia rozumiała, co ona jeszcze ze mnie zrobić może; ona jedna. Całą duszę mam poszarpaną, ona jest najstalszym punktem mych przywiązań, jedynym faktem mego życia, który mnie nie zawiódł.

3. I.

E*** wiele razy zapytywał mnie, czy nie byłoby dobrze, aby ktoś młody przedstawił całokształt mojej działalności na zasadzie szczegółowej znajomości wszystkiego, com napisał. Czy byłoby dobrze? Pytanie to trudno zrozumieć. Nie mogę rozstrzygać, czy to byłoby ciekawe, pożyteczne dla czytelnika, ale dla mnie miałoby to znaczenie wewnętrznie nawet, t. j. dla dalszej mojej pracy — wielkie. Potrzebuję, i nieustannie stwierdzam to — takiego kompendium moich myśli i usiłowań, a zrozumienie, że jest w moich rozproszo-

nych kartach jedność i całość najskuteczniej broni mnie od zniechęcenia. Ale napróżno byłoby czegoś podobnego się spodziewać. To, co jest myślą w moich pismach, najmniej zajmuje. Nikt właściwie nie powiedział słowa, które miałyby pod tym względem znaczenie — pochwała obejmująca z zewnątrz nie zastąpi wnikięcia w organizm myśli, przejęcia się jego prawami. Gdy przerzucam stronę po stronie różne pisma, różne moje artykuły, widzę, że były to i są *disiecta membra*. W studyum o Żeromskim są stronicie (o duchu), które są kontynuacją wątków myślowych, wykładanych w »Filozoficznym«. W takich warunkach istotnie pisałem, że najistotniejsze moje myśli nigdy nie mogły być podane bezpośrednio jako treść. Ani Dawid, ani Feldman, ani Kucharski nie wydrukowałiby czegoś podobnego. To wszystko było zawsze nie tyle pod progiem mojej świadomości, ile raczej pod progiem bezideowości i antiliterackości polskich redaktorów, szukało sposobności, by się wychylić w świat naturalnie chyłkiem, z bojaźnią, że jeżeli będzie tego za dużo, cierpliwość się wyczerpie.

Filozofia czynu np. — była ona tak absolutnie ignorowana, tak z góry poklepana po ramieniu przez Feldmana, że ja sam przestałem uważać ją za coś istniejącego. Po latach bez przeglądania jej, czytałem ją w książce i widzę, że nie jest ona gorsza od rzeczy, które drukują się w zbiorach przez takich autorów, jak James,

Schiller. W *Legendzie* i w *Ideach* jest cały rój myśli dopominających się o kontynuację: naturalnie znowu zginęły one w apatii filozoficznej. Nie jest to żaden zaszczyt, ale rzeczywiście, niema dziś w piszącej Polsce poza mną nikogo, ktoby czuł właściwe znaczenie zagadnień filozoficznych. Dlatego nikt nawet przy dobrej chęci — a tej niema prawie wcale — nie może współczuć z całością mojego wysiłku. Tacy »filozofowie« jak Halpern, jak Segal, mogą poprzestawać na swoich trocinach książkowych, bo pozatem, mieszanina dekadencji i oportunistycznego życiowego pozwala im przez całe życie nie przekonać się ani razu, że ich cała gadanina filozoficzna nie ma żadnej treści, jest nudnem, nieharmonijnem konstruowaniem pojęć, tak, aby dały one nowy i akademicko dopuszczalny — nawet dobra jest pewna »rewolucyjność« — deseń. — Külpe ma też swojego Kanta. Niechęć bezwzględna rodzi się z takich faktów. Kant nie zdołał więc nawet osiągnąć tego, — by jego, który zrobił wszystko, by powiedzieć tylko to, co myślał i jak myślał, Kant, który jest wzorem przejrzystości, byle się go tylko nie chciało »konstruować« i »mentorować« mu podczas czytania, ale przyjmować go w całości, — nie osiągnął tego nawet, by mu nie przekręcano jego myśli. Co może być istotnie wspólnego między Külpem — a Kantem! Tu same portrety rozstrzygają. Mało rzeczy znam tak cudownie wytwornych, jak ręce i oczy Kanta — nec plus ultra subtelności.

Goethe — spotkałem to zdanie u Chamberlaine'a — powiedział prawdę: istotnie wchodzimy do jasnego pokoju, czytając Kanta. Ale naturalnie kiedyś, o ile ten dziennik mój będzie czytany i analizowany, krytyka będzie widziała w tem, co piszę, dowód mojego upodobania do paradoksów, sadzenia się na oryginalność i naturalnie żadna siła temu nie zaradzi. Kto wyperswaduje Anglikom, że niezrozumiałość Browninga stała się dziś w znacznej mierze tylko nałogową formułką, że w każdym razie Browning zawsze dokładnie i bardzo silnie wiedział, co chce wypowiedzieć, tylko to, co on chciał wypowiedzieć, stanowiło zawsze doświadczenie, myśl, przeżycie, trudno dostępne. E*** będzie całe życie narzekał na brak książek i czasu i nigdy nie zdołam go przekonać, że Kant i Goethe, w całości przestudyowani, daliby mu, o ile wogóle ją mieć może, skalę miar, których dzisiaj szuka on w pojedynkę i gorączkowo. To samo W*** z Francuzami. Jest istotnie organiczna niechęć i niemoc kulturalna w epoce: rozproszona ciekawość, nieuporządkowane ambicje — nie pozwalają wytworzyć się psychice, zdolnej dźwigać kulturę osobistą. Każda nowa ambicja tworzy w nas nowy rozkład wartości, nowy plan, nowe stopniowanie hierarchiczne — na chwilę naturalnie — a ponieważ ci, którzy rozbudzili w nas tę ambicję, są w tym samym stanie i my sami też działamy na innych, w ten sposób tworzy się ruchome piaskowisko myśli i uczuć. Poli-

tyka zgartuje to szuflami, do szczeru brutalizując wszystko, co wymaga subtelności — własnej swej hierarchii, spokoju.

Jeszcze przed dwoma laty uważałem aforyzmy wstępne (z podręcznika ekonomii) Vilfreda Pareto za dowcipne paradoksy, teraz są one dla mnie tem, czem są: gorzką i niezaprzeczną mądrością. Pareto jest jednym z najciekawszych umysłów naszej epoki. Gdyby zapytano mnie, kogo uważam za umysł nowoczesny, za umysł wyrażający nastrój i strukturę duchową naszych czasów, wymieniałbym: Pareta, Chestertona, Sorela, Maurrasa, Crocego, Seillière'a, Loisy, Bergsona, Jamesa, Barrés'a, Wellsa, Kiplinga, może Shawa, ale »nowoczesny« sam przez się nie jest aprobatą dla nowoczesnego kształtu umysłów bezwzględnie fałszywych — Maeterlinck, Pascoli; Rolland jest umysłem nawpół sfałszowanym, lecz takim, że czuje się dość silnie żal tej straty. France! Czem był kiedyś France dla mnie. Od France'a do Mereditha — z tego rozwoju mógłbym być zadowolony — tak samo jak z tego, co od Guyau prowadzi do Sorela, ale Guyau nigdy nie był dla mnie bezwzględnie mistrzem i źródłem. Avenarius i Taine byli czemś całkiem innem. Tym zaś nigdy nie będę bluźnił. Zawdzięczam im nieskończenie wiele. Powinienem, jest to moim obowiązkiem, napisać książkę w obronie Taine'a.

Oprócz innych rozróżnień, jakie mogą być wykryte i ustalone w fakcie tak bogatym, skomplikowanym i posiadającym tak długą i różnostronną historię, jak chrześcijaństwo — niewątpliwie na szczególną uwagę zasługuje następujące. Chrześcijaństwo wprowadza nas w świat stosunków, zachodzących pomiędzy nami, Bogiem, życiem przyszłym — jest właściwie światem posiadającym całą nieskończenie głęboką budowę i prawa: niczego w nim nie brakuje, gdyż jest to istotnie świat żywy, więc rozwija się on w naszej myśli i ktokolwiek bądź przeniknie się prawdą jednej chociażby tylko zasady, byle tylko istotnie wżył się w nią, rozwinie z niej wszystkie inne, cały świat chrześcijaństwa jest zawarty organicznie w każdej z jego prawd cząstkowych. Jednocześnie ten świat najgłębiej działa wewnątrz dusz naszych i przekształca tak myśl naszą i wolę, aby wyrsało z nich postępowanie odpowiadające podstawowym i zasadniczym warunkom naszego kulturalnego społecznego życia. W epokach idealnych, a raczej w ideale, oba te fakty, obie te strony żyją we wzajemnej harmonii, żadna z nich nie wyszczególnia się i nie wyodrębnia. Chrześcijaństwo jako świat metafizyczny, jako prawda nadprzyrodzona jest organem wychowawczym, na zewnątrz ujawnia się w doskonałości wszystkich form życia, które wola w ten sposób wychowana wytwarza. Można niewątpliwie widzieć w tego rodzaju rozumieniu tych rzeczy, bardzo zasadniczą i jak gdyby nie

szczędzącą niczego, rujnującą samą możność odrodzenia, krytykę chrześcijaństwa, gdyż nadprzyrodzoność, to bądź co bądź źródło i sprawdzian, zostają tu wchłonięte przez tutejsze ziemskie, świeckie życie kultury. Ale nie jest to bynajmniej jedyny sposób myślenia, wyrastający z tego punktu widzenia. Przeciwnie, głęboka harmonia między ziemskim i niebiańskim faktem chrześcijaństwa jest jakby stwierdzeniem jego prawdy. Chrześcijaństwo występuje jako naturalny żywioł życia człowieka, ale przecież głosi ono jego odkupienie. Jeżeli widzimy, że wrasta ono tak bez reszty w ziemskie życie, to nie jest to dowód, że chrześcijaństwo jest tylko ludzkie, lecz, że człowiek jest chrześcijański, nadprzyrodzony, że nie może być myślany inaczej. Cała zasadnicza postawa Feuerbachowska jest naiwnością. Cóż bowiem, że chrześcijaństwo jest faktem ludzkim, tylko ludzkim, że niema w nim ani jednego atomu, któryby nie był z człowieka, — przecież znaczy to i to także, że niema w człowieku pierwiastka, któryby nie był »nadprzyrodzony«, wpleciony w przędzę dzieł i замыśleń Bożych. Człowiek samopoznaje się w chrześcijaństwie, gdyż Bóg, który go stworzył, stworzył go według tej samej prawdy, którą mu objawił. To dla dogmatyków. Ale kulturalnie dwa te fakty rozszczepiają się. James zawsze troska się, czy aby nie za dużo tej nadprzyrodzoności, ascezy, świętości; tyle jej trzeba, aby wyrastała wola — ale nie więcej. Tu jest dogmatyzm Jamesa — dogmatyzm niespójny. I podczas

gdy chamy z »Nowej Reformy« zarzucają mu, że przechylał się w stronę »grubego« spirytyzmu, nie widzą, że o ile ten spirytyzm był gruby, to dlatego, że jest on jednak wpływem koniecznym naturalizmu i F. H. Myers jest umysłem zasadniczo tego typu co jakiś Helmholtz, Hertz, Clifford; w tem właśnie leży to, co mię odstręcza od niego filozoficznie. Ideowo idzie tu zawsze o podporządkowanie człowieka faktowi. Fakt jest niemniej fetyszem, gdy działa w postaciach energii, ruchu, funkcjonalności matematycznej, jak i wtedy, gdy ma do rozporządzenia dziedzinę i formy działania ukazywane przez Myersa. Dlatego pomimo, że będę w ten sposób podkopywał się pod nieistniejące jeszcze bastiony przeciwników i na moich czytelników t. j. tę część społeczeństwa, która dotąd przeważnie i ku memu nie-szczęściu jedynie bodaj mnie czyta, będę robił wrażenie opętanego walczącego w próżni, muszę przecież zdobyć się na zimną krew — i dokonać jeszcze i tego donkichotyizmu.

Wracając do tych dwóch momentów w chrześcijaństwie—nie wierzę w chrześcijaństwo bez elementu nie-biańskiego, takie, jakie zarysowuje się S. Minocchi'emu w jego ataku na Tyrrella. Nie wiem, czy M. ma słusność, i czy Tyrrel jest tak wyłącznie (?); tak to jego *Much abused letter* musi być ciekawą rzeczą — jeżeli tak, to mam słusność mówiąc, że on i Loisy podzielili się dwoma biegunami myśli J. H. Newmana.

Jakąż głęboką prawdę wypowiedział M. Arnold: J. H. Newman, tacy jak on ludzie, takie jak jego umysły dzisiaj muszą nas wprowadzać w stan zadumy, jak wobec cudu, jak wobec faktu wyższej, niż nasza a harmonijnej natury. Nie jest dla mnie paradoksem nastroj, który pomimo wszelkich niepodobieństw materialnych łączy Shakespeare'a i Newmana w tym samym podziwie dla niekaleczącego niczego w duszy naszej harmonii. To jest może ta »metodologia« ewangelii, o której J. H. Newman mówi gdzieś, w którymś z kazań en passant. To także jest odkupienie człowieka. Jest to bluźnierstwo prawie, ale Blake i J. H. Newman mieli to wspólne poczucie, że Chrystus musi się stać swobodą całego człowieka, całej jego myśli we wszystkich jej aspiracjach poznawczych, estetycznych, poetyckich, etycznych — w całości jego niewyczerpanej natury. I naturalnie Newman cofnąłby się przerażony (choć kto śmie twierdzić, — Newman istotnie może zniechęcić do wszystkich mych »psychologów«; niech będzie błogosławiona ta jasna chwila, gdy go zacząłem czytać) w zerknięciu z Blakiem. — Zresztą mniejsza o to: ja rozumiem siebie, gdy to piszę. Widzę, widzę plastycznie granice słuszności tej natury. Anglia, to kraj tylko dzielnych kupców, mówi W. Feldman o narodzie, który dał nam szczęście wznoszenia duszy przez stosunek z Blake'm, S. T. Coleridge'm, Lambem, Carlyle'm, Newmanem. Newmanem z pewnego punktu przedewszystkiem.

silnem moralnem życiem, to jest przeistaczających się, artyzm jest zawsze powrotem, lub zatrzymaniem: coś co było już nami, lub choćby nawet jest, ale w każdym razie coś, co nie jest czystym dynamizmem tworzenia własnej istoty, leczenia jej, przebudowania, — utrwała się tu. Artyzm zależny jest od pierwiastków, które zmieniają się najwolniej, od wzruszeń i czuć i ich połączeń z naszą auto-sympatyą, stanowiącą moment popędu do auto-impresyi. Gdy więc zaczynamy pisać, ożywia się w nas i uzyskuje przewagę nad nami nie wola — lecz natura: natura staje się wolą. W tych więc momentach jest już i etyczne usprawiedliwienie artyzmu. Chroni on od jednostronności, wolą w niej staje się nawet wbrew nam samym, to, czego byśmy nie chcieli, nie śmieli uczynić wolą. Samowiedza nasza się zaostrza i o ile tylko prąd życia jest w nas silny, wychodzimy z tego powstrzymania silniejsi, głębiej i szerzej wierni samym sobie. Stąd jednak i ta właściwość, że jestem bezsilny wobec tego, com napisał. Nie mogę wracać. Jest każda rzecz tylko raz dla mnie. Stan i usposobienie, niewątpliwie wykluczające doskonałość, ale Blake nie był w stanie nigdy poprawić swych rzeczy. Mam nadzieję, że nadejdzie i w mojem życiu okres tworzenia spokojnego, ale będzie to nie wcześniej, aż gdy wżyję się całkowicie w prawdę. Wtedy gdy już dokona się proces przeniknięcia wzajemnego etyki, psychofizyologii (rozumiem samego siebie, gdy to piszę), będę mógł pi-

zykownem jest wykluczać z filozofii takie nawet umysły, jak M. Arnold. Przeciwnie myślę, że pisma Arnolda dla nikogo nie są tak konieczną szkołą, jak właśnie dla dzisiejszych *sans le savoir* fanatyków naukowej kultury, muzułmanów determinizmu naukowego, czcicieli faktu etc. Nagie co powstaje tam, gdzie dziedziny naszego życia i zachowania nie wydają się nam pięknymi, swobodnie wypływającymi z naszej istoty, przynoszącymi nam zaszczyt, ujawniającymi jakieś godne miłości i zachwyty strony naszych osobistych uzdolnień. Gdy życie posiada te wszystkie cechy, możemy być pewni, że nastąpi przesunięcie się środka ciężkości od literatury ku nauce. Newman raz na zawsze oswobodził mnie od tych przesądów dzisiejszego mechanicznego barbarzyństwa.

Pojąć nie mogę, jaką rolę odgrywa w umysłowości Wellsa ta jego *the beauty*, o której mówi z takim naciskiem. Sama umysłowość nie zasługuje bynajmniej na lekceważenie. Powinniśmy przedewszystkiem dokładnie analizować tak blizkie nam umysły. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ludzie Wellsa są jakby nie brudni, ale brudnawi, że jest to człowiek nie uznający zasadniczych barw, czystych tonów w etyce. Nie o to chodzi, że tym ludziom może zdarzyć się coś brudnego, lecz że w tej ogólnej atmosferze nie będzie to wydawało się rzeczą mającą znaczenie. »Wszystko jest plamą« —

aby uczeń sam z siebie zdradzał jakiegokolwiek upodobania osobiste, spontaniczne, do jakiegokolwiek bądź z przedmiotów wykładanych. Jest tu rzeczą ustaloną że Sofokles, Homer, Plato, ale nawet Пушкинъ Лермонтовъ są tylko lekcją, czemś, co jest zadawane i napotyka raczej opór i lenistwo. Jako ew. przedmioty zajęcia, nie wchodzą te rzeczy w rachubę — a w każdym razie zasadą pedagogiczną jest, że z natury są one nie zajmujące, nie zdolne pociągać. Nic nie może być bardziej demoralizującego, niż ten rys. Żadne wysiłki rasyfikatorskie w Królestwie, a ogólnego sykofantyzmu w całym państwie nie przynoszą tyle krzywdy, ile ta apatya. Naturalnie jest ona związana z systemem i nie mam zamiaru tego kwestyonować, ale trzeba sobie zdawać sprawę, że groźnymi są nie jaskrawe i w gruncie rzeczy rzadkie fakty skandalicznej opresyi, która systemem panującym staje się tylko w razach wyjątkowych, jak w gimnazjum lubelskiem Siengalewicza (nie powinien on być zapomniany i powinien zostać w historii), ile raczej ta urzędowa nuda, która zwolna zatruwa umysły, przyzwyczajając je do tego przekonania, że własna działalność myślowa jest czemś nienormalnem, »nawet nie wymaganem«. — Pamiętam, jak naiwnie zdziwił się mój kolega *Nikołajew*, że ktoś może zajmować się poważnie, osobiście kwestyami logiki. »W gruncie rzeczy wszelka wiedza jest indukcyjna« mówiłem, wtedy darwinista, »jeżeli człowiek jest wynikiem ewolucyi —

wiedza, którą nawet cały gatunek ludzki znajduje w sobie gotową, była nabyta indukcyjnie przez zwierzęcych przodków — « »Nu — jeżeli ty o takich rzeczach będziesz myślał — ! — « a byliśmy wtedy w ósmej klasie i N. musiał mieć lat 20! W czasie epizodu z kajetem i tłumaczeniami usiłowałem pisać wiersze i bazgrałem je ciągle na lekcjach a że zawsze były »patryotyczne« łatwo mogłem stać się »męczennikiem«: Korepetytor mój, Kruszewski, wziął odemnie jako curiosum zeszytik z kilkoma takimi utworami. Zdaje się, że miały one zbyt mało sensu i rymu, nawet dla mego wieku (11 lat). Pisałem wtedy i tragedię, zdaje mi się na temat Orestesa — lecz już w jakimś 20 wierszu miałem na scenie tyle trupów, że nie wiedziałem, co z nimi robić. W dwa lata potem pamiętam początek dramatu — o rokoszu Zebrzydowskiego. Jakiś strażnik królewski przemawiał tak do rokoszanina: »...A milcz, ty ogonie byczy!« Ale prócz tego ogona nie zostało mi już nic w pamięci. W rok później napisałem pierwszą krytykę, rozbiór *Estei Kartek z życia kobiety*, zdaje się bardzo pochwlebną. Prowadziłem wtedy także dziennik, którego zaniechałem, gdyż ojciec mój czytał go i kilka razy wspominał z ironią (zasłużoną aż nadto zapewne) jakiś szczegół (zdaje się »mój sceptycyzm religijny«). Może jednak był to tylko dogadujący mi pretekst, a przyczyną zaniechania był brak wprawy, lenistwo i choroba całej mej młodości: rozrzutne niechlujstwo zainteresowań umysłowych.

Berkeley niewątpliwie może być przedmiotem żywego nie akademickiego studium. Wystarczają po temu całkowicie już te momenty, które znam: 1-o bierność idei; 2-o tworzenie nie może być ideą; 3-o nie może istnieć wystarczający samemu sobie system idei (materya). A przecież ciągle jeszcze pozostaje ogólnem wyobrażeniem i przedostaje się do ogółu tylko to, że Berkeley zaprzeczał istnieniu świata zewnętrznego, więc wszystko było dla niego tylko myślą. Jaka siła zmusza Jowialskich do gadania o filozofii, podczas gdy bajeczki i figliki (pręciki ?) najzupełniej im wystarczają. Właściwie w Polsce Jowialski jest straszniejszy od Inkwizycji hiszpańskiej, i swemi rozczłapanemi pantoflami wydeptuje on skuteczniej samą chęć nowinek niż najdrażniejszy fanatyzm. I wszystko w zgodzie z »papką i czapką«. Och Fredro! Istotnie jest to skarbnica polskości. Kiedyś pamiętam (byłem jako chłopiec nieznośnie uprzykrzony w wysiłku ciągnięcia swych myśli za włosy i sztucznego dorabiania im wąsów i łysiny), Wojciechowi Rostworowskiemu zdaje się, przedkładałem, że Fredro jest wyższy nad Molière'a. Czem był dla mnie Molière wówczas! I właściwie czem jest on dla nas dzisiaj. Ale Fredro nigdy nie przedostał się aż do tej dziedziny, w której kwestyonowany jest sam człowiek, nie miał on zasadniczej (jako poeta) żywej idei człowieka. Molière blizki był tej głębinie lub nawet dosięgnął jej. Teraz zacznę znów go czytać i myśleć o nim,

goś elementu wszechkonstrukcyi dziejowej, niż samą tę działalność. Dla tego raz jeszcze miałem słuszość w dyspucie z Irzykowskim, raz jeszcze mam słuszość, że zwrot od katolicyzmu do jakiegokolwiek bądź ze znanych mi form myśli i czucia jest upadkiem: zarówno buddyzm jak Spinozizm, Heglizm, czy Comtyzm. Lista perpetua. To jest bezwzględne, ale prócz katolicyzmu: kultury, jest katolicyzm, droga do świata nadprzyrodzonego. I ta jest dla mnie zamknięta.

Nasi zwolennicy wschodu, wielbiciele buddyzmu etc. ulegają charakterystycznemu nieporozumieniu: uważają oni za zasadniczy moment zachodniej kultury, myśli, zachodniego patosu, zainteresowanie w świecie jako przedmiocie użycia (uważając empiryczne poznanie za pewną jego postać) — temu zainteresowaniu przeciwstawiają wschodnią obojętność — jako swobodę, szerz duszy —; od czasu Kanta, co najmniej, ale właściwie od czasów Grecyi, Rzymu — rysem zachodnim jest zainteresowanie bezwzględne w świecie, jako przedmiocie naszego czynu, jako stworzonem przez nas dziele. Nie to bezwzględnie jest potrzebne, byśmy żyli w takim lub innym gotowym świecie, lecz byśmy tworzyli świat, tworzyli jak największy zakres rzeczywistości uczłowieczonej. Wskutek pomieszania tych dwóch różnych punktów widzenia — zachód tak mało jest zrozumiany, swój

ski u nas. Ale Herbaczewszyna jest nieprzenikalna dla tej myśli. Swoboda jako niesprawiająca cierpień, anemia duszy, cherlactwo woli, żebractwo myśli, skrofuły jako religia. Herbaczewski jest karykaturą, ale karykaturą typową.

Blondel w pierwszej części swego dzieła ustalił niewątpliwie kilka prawd fundamentalnych. Nie sędzę, aby wyraz immanentyzm oddawał dobrze charakter najogólniejszy i zasadniczy jego myślowego wysiłku. Ważną prawdą z liczby tych, o których dzisiaj myślę, jest jego potencjalna krytyka Schopenhauera, — dyletantów à la Pater i ówczesny — t. j. z czasu, gdy Blondel pisał »*L'Action*« — Barrès. Blondel i Barrès prawdopodobnie musieli być jednocześnie młodymi ludźmi i w stylu Blondela znać myśli i wątpliwości, ciężkie dylematy i rozdwojenia dyalektyki wrastającej w uczuciowość — stan duszy pokolenia, dla którego Kant (przeżyty jak przez Kleistę), Renan, Taine ogólne wyniki biologicznego zacie trzewienia były chlebem dla duszy.

Juliusz Laforge pozostanie niewątpliwie najwybitniejszym wyrazem młodej myśli i młodej duszy wzrastającej w takich warunkach. To nawet jest jego patetyczne znaczenie dla nas i jeszcze na długo. Blondel walczył niewątpliwie w dobrej sprawie, ale walczył głęboko i skuteczną bronią sumiennej przebudowy myśli,

więc na powierzchnię jego praca nie przedostawała się niemal całkowicie. Ale to pewne, że dyletantyzm, o ile w ogóle zachowuje on sumienie myślowe, został tu raz na zawsze rozbity i uniemożliwiony. Prawda, której ostrze jest skuteczne w tym kierunku, polega na tem, że nic co może być kiedykolwiek dla kogokolwiek bądź treścią świadomości, nie może być wolnem od etycznych zobowiązań dla tej jednostki. Niema świata etycznie nieobowiązującego, lecz przeciwnie, — uniewinniającego, gdyż każda zawartość świadomości jest zawsze 1) wynikiem ogólnego życia ludzkości kulturalnej 2) wynikiem naszego stosunku do tej ludzkości. Heglizm może być uważany jako propedeutyka, jako inicjacja w stosunku do drugiego punktu, wyzwala on nas od iluzji, związanych z nieprzygotowaniem osobistem, chorób i mirażów niedojrzałości i dojrzewania. W każdym razie dopóki świat nie wydaje ci się rozumnym, jest to twoja wina. Ale Heglizm utożsamiał nazbyt łatwo punkt drugi z pierwszym, a są one różne, i niekoniecznie wynika stąd, że uznajemy niedojrzałość i niesłuszność naszej subiektywnej krytyki wszechprocesu — dobroć bezwzględna tego wszechprocesu. Byronizm jest stanowiskiem, doskonale scharakteryzowanym w Meredithowskim epigramie o Manfredzie, ale argumenty przeciwko Byronowi nie są argumentami na rzecz zrównania historii i bezwzględnego rozumu. Naturalnie książka Blondela będzie i nadal

u nas nieznana; wszech-Feldman, wszech-Zofia Nałkowska, wszech-Lemański i wszech-Irzykowski będą w dalszym ciągu świadomie i bezwiednie bronili stanowiska absolutnej równowartościowości frazesu i bezwzględnego równouprawnienia języków. I to jest odmiana katolicyzmu niewątpliwie, ale raczej z jego fazy dowodzącej pięknej konsekwencji katastrof (Norwid).

Każdy myślący Polak musi dziś czuć to samo: myśli nasze butwieją w ciągu jednej nocy. Nie znoszą zetknięcia z powietrzem i ziemią — tem powietrzem i tą ziemią, jakie są z naszej i ojców naszych zasługi — jedynym naszym gruntem. — Czy więc istotnie nie wszystko jedno?

Rozpacz wkrada się przez każdą szczelinę; rozpacz i zniechęcenie. Nie mam w tej chwili żadnej łączności z życiem — jestem sam, a chociaż wiem, że mogę wywierać wpływ, ta abstrakcyjna wiedza nie chce się zrealizować, stać poczuciem. Słaby jestem człowiek, lada mnich średniowieczny był w porównaniu ze mną bohaterem — a my mówimy o przyzwyczajeniu tej etyki. Błazeństwo Kodisowszczyzny, Niemojewskich, wiecznie gadającej Izy, poczciwego Radlińskiego, który ma całkiem niezasłużoną minę Sylena, czy może Sokratesa.

Czasami pewne postacie żyją intensywnie we mnie na chwilę; wczoraj miało to miejsce z Sokratesem.

Meredith rozwiązuje zagadnienie, jak pogodzić idealizm poetycki, idealizm nie ustępujący w rozległości perspektywy Dante'owskiemu lub Shelleyowskiemu bez pojęcia celu ostatecznego, bez wszelkiej eschatologii, apokalipsy etc. Sorel rozwiązuje to samo zadanie w dziedzinie myśli oderwanej i etyki. Sorel, jak się zdaje, nie rozumie własnego swego znaczenia w filozofii i niedocenia swej pracy w prawdziwie wzruszający sposób.

Gdy się ma śmiałość, jak czyni to Lemański, zarzucać całej kategorii pisarzy brak twórczej pracy nad wyrobieniem sobie własnego moralnego świata — trzeba dać dowody, że się ten świat posiadało. Dowodem jest rodzaj widzenia artystycznego. Autor »Wioseczki« nie jest bliski stanu, w którym wszystek pył jego myśli stał się Buddą — mam ochotę odpowiedzieć. Nie mogę zaprzeczyć, że mnie jeszcze zawsze rozstrajają ataki tego rodzaju. Ale mniejsza. Nie stoicka nietykalność, lecz przyzwyczajanie ran odczutyh. Byłe na to starczyło sił.

Lubię wsłuchiwać się w ton pierwszych utworów ludzi, którzy później wyrosli nad miarę swoich pierwszych zapowiedzi. Gdyby Blake zozstawił tylko swoje *Poetical Sketches*, znalazłoby się może dla niego miejsce w lepszych i obszerniejszych antologiach poezji angielskiej, ale zapewne nie troszczylibyśmy się wiele o niego — a przecież ten umysł, który stworzył ten zbiorek, był in potentia już głębią późniejszych dzieł. Teraz nie trudno znajdować symptomy. Porównanie *Poetical sketches* i młodzieńczych utworów Wordswortha, nastrecza sposobności dla wielu uwag, ale myśl nasza pracuje pod predyspozycją wiedzy, jaką skądinąd o Wordsworth'cie i Blake'u posiada. Blake niewątpliwie w czterech szczególnie pierwszych poemacikach o czterech porach roku o wiele intensywniej intelektualizuje przyrodę: przychodzi on do niej z silną, osobiście wibrującą myślą i w zetknięciu z nią zjawiska stają się odrazu czemś mocno zdecydowanym, ujmuje on je odrazu w perspektywie myśli, a nie tego życia, jakim żyją one w przyrodzie, pozostawione samym sobie. Wordsworth o wiele bardziej wsłuchuje się. Opis dąży i u Wordswortha do pewnego stanu duszy, ale dzieje się to tu powolnym rytmem. Dusza, jak gdyby dochodzi do pewnych stanów jedynie przez to, że stara się oddać sprawiedliwość, dorównać szerszemu życiu. Odrazu przemaga w porównaniu do Blake'a stopień zainteresowania czystą zewnętrżnością. Blake jest o wiele więcej

zajęty sobą. Rytm od obrazu do wzruszenia, myśli, stanu woli i znów do obrazu, obieg krwi jest nieskończenie szybszy i bogatszy. Szczęście ma tu ton pełny, silny, słoneczny. Umysł jest silnem poczuciem tego szczęścia, własnej swej energii. Sam przez się umysł Wordswortha jest nieskończenie mniej zainteresowanym samym sobą, nie czuć w nim w przybliżeniu nawet tego rodzaju namiętności osobistej. Życie jako takie, jest raczej melancholijną możliwością, ale zwolna zarysowują się na jego powierzchni obrazy, widzenia, — te wywołują pewne poruszenia, wreszcie, gdy umysł przesyci się naturą, staje się interesującym, jako taki, jako zdolny do tej harmonii dla samego siebie. Kontemplacja jest tu czemś bardziej wartościowem, niż to, co jest bliżej osobistego centru. Czegoś w rodzaju *pieśni* Blake'a o »miłości« nie znajdziemy tu. Przyroda Blake'a zresztą jest przyrodą wibrującą namiętnością osobistą. Naogół dzieła *Poetical Sketches* są o wiele bardziej interesujące, niż młodzieńcze utwory Wordswortha, nieskończenie większą, i absolutnie mówiąc: dużą dają one rozkosz rozważane już tylko jako utwory poezyi bez względu na Blake'a i historyczne znaczenie.

Swedenborgyanizm jest dla mnie niedostrzegalny w *Poetical Sketches* — natomiast pewne naiwne doktrynerstwo społeczne, i jeszcze podziemny, potencjalny ogień demokratycznego rewolucjonizmu.

Ten właśnie rys myśli, który wydaje się mi naj-

ważniejszy, najbardziej charakterystyczny jest najtrudniejszy do uchwycenia.

Czemkolwiek bądź jest świat, jakkolwiek bądź ma on być przez nas określony, trzeba pamiętać, że nasze najskrupulatniejsze, najmetodyczniej przestrzegane negacye, nie zmieniają tego, że każde określenie, każda postawa jest i będzie:

- 1) Stanem historycznym pewnej zbiorowości ludzkiej;
- 2) Stanem etycznym pewnej indywidualności, i to zarówno w tem znaczeniu, że są one:
 - a) wynikiem pewnej przeszłości dziejowej, i
 - a₁) wynikiem pewnego etycznego wytyżenia,
 jak i w tem, że są one
 - b) podstawą dla dalszych historycznych działań;
 - b₁) momentem określającym dalszy nasz rozwój etyczny.

W żadnym razie nie zmienimy i nie unikniemy tego, że gdy wplatamy w pasmo naszych rozumowań taki moment ontologiczny — wprowadzamy właściwie czynnik, działający w pewien sposób na nasze postępowanie historyczne i etyczne, ale pragniemy, aby sam rodzaj tego działania pozostał nierozwikłanym. Wydawca i komentator Blake'a — Ellis określa głęboko materję, jako »dark activity of the mind«.

Soreliana. Są to moje uwagi, których nie mogę jednak uważać za moją własność. Są to nierozwikłane, nawpół bezwiedne założenia myśli Sorelowskiej.

Cokolwiekbądź możemy powiedzieć o świecie, będzie to zawsze wynik pewnej historii wypowiedziany w terminach pewnej literatury (pojmując przez tę ostatnią całą twórczość językową).

Gdy usiłujemy wytłumaczyć człowieka przez jakąkolwiekbądź teorię świata, do którego należy człowiek i jego historia, nie możemy uczynić nic innego, jak tylko starać się zapewnić nieograniczone znaczenie pewnej historii i pewnej literaturze. Są to problemy obyczajowości i smaku. Metafizyka rozwikłana rozkłada się przedewszystkim na estetykę i etykę; czy może raczej biografię i historię etyczną.

W każdym razie świat ma tu przestać być tajemnicą.

Jeżeli może istnieć jakaś teoria świata, to tylko dla tego, że stanowi ona moment bardziej złożonego kompleksu — pewnego zespołu faktów psycho-życiowych; by ten zespół trwał, musi on zabezpieczać swe trwanie.

Węc pojmując, jak zabezpiecza się trwanie i ciągłość różnych kompleksów ludzkich, określamy metafizycznie te określenia, które usiłowały zawrzeć w sobie całą metafizyczną istotę świata.

Sorel twierdzi, że »jego racjonalizm« przeszkadzał mu w zrozumieniu wartości pierwszych prac B(ergsona).

Sorel niekoniecznie trafnie przypisuje to racjonalizmowi. Idzie o to, że na jego myśli ciąży usiłowanie etycznej, heroicznej natury — tworzenia życia, czyniącego zadość naszym wymaganiom. Nikt tak tragicznie nie pojął zagadnienia ciągłości dziejowej, jak Sorel, właśnie dlatego, że zburzył on kołysankę tak lub inaczej pojętej ciągłości automatycznej.

Ale możemy iść głębiej.

Myślimy pojęciami, określamy myśląc, czym mają być dla nas przedmioty, ale przedmiotów niema, są tylko momenty kompleksów psychożyciowych. W logice zachodniej tkwi postulat tworzenia samych tych kompleksów. Samorząd człowieczeństwa.

Sorel nie mógł wyrzec się wiary w wartościowość tej idei.

Czy jest to idea konieczna?

Odpowiedź musi tu być wyborem i czynem. Ale kto ośmieli się odpowiedzieć bez obawy bombastu?

Naturalnie Prometeusz-Feldman — ale nie każdy ma jego męstwo.

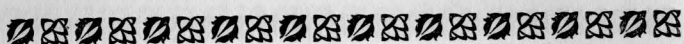
Tu jest punkt Pascalowski dzisiaj.

Czy człowiek może sobie sam wystarczyć? Czy sobie wystarcza? Ach mój Boże, mój Boże, człowieka, któryby miał dar Sofoklesowski »stanowczego widzenia życia i widzenia w całości«. Arnold określił Sofoklesa doskonale — ale sam dążył do tego tylko, by widzieć życie »*whole and steadily*«. Empiryokrytycyzm uznaje trwa-

nie gatunku za dowód stałości prawd przyrody. Jeżeli przyznać prawa postulatu tego rodzaju to raczej postulat z Pascalem, Newmanem, niż Petzoldem.

II. I.

Swedenborg prawdopodobnie na zawsze już zostanie zjawiskiem problematycznym. Niewątpliwie sprawa jest utrudniona przez to, że był on jednocześnie niepospolitym myślicielem i uczonym, ale myślicielem przedewszystkiem, któremu należy się więcej niż wybitne miejsce w historyi filozofii między Spinozą, Leibnizem, Kantem, — reformatorem religijnym szczerym i głębokim i jednocześnie jednostką o ponadnormalnem życiu psychicznem. Niewątpliwie także, czy na skutek nacisku, wywieranego przez to ponadnormalne życie i jego fakty na świadomość racjonalizującą — trudno orzec — ale prawdopodobnie osłabł w nim krytycyzm w stosunku do wszystkiego, co ukazywało się na powierzchni jego duszy w formie konkretnego obrazu, faktu o stanie zabarwienia uczuciowym, i alegorye, fantazyje sentymentalno-poetyckie wplatały się w ten sposób w wydarzenia z ponadnormalnego życia. Gdy dołączymy do tego nieustanny wysiłek komentatorski, filozoficzny i reformacyjny, spostrzemy, jak skomplikowana i różnorodna tkanina psychiczna tworzy wątek jego pism. Może też przedwczesnem jest pesymis-



błysk myśli trwającym widzeniem kolumn w pewnem świetle — nie umiem go określić: jest bogate, ma w sobie tony od złota do cieniów-fioletu i purpury, jednocześnie chłód i światło, wszystko w jednym odczuciu, które zestraja, myśl w tonie czyniącym ją dojrzałą dla faktów o katolickiej strukturze.

Gdyby mię kiedy stać było: napisałbym książkę, nie-
możliwą zdaje się dla mnie, o katolicyzmie, bez obaw
i trosk, czy byłoby to zgodne z kościołem, książkę swo-
bodną, widzącą wartość i piękno bez obawy; będzie to
nie całkiem ta sama myśl. Mówiliśmy dziś o wytępie-
niu tygrysów i lwów. Było dla mnie jasnem, że bę-
dzie to strata, że wartość życia zostanie przez to zmniej-
szona. Nie chcę powiedzieć, że katolicyzm zdaniem mojem
powinien być wytępiony. Gdy czytam: *écraser l'infâme*,
budzi się we mnie opór. Ale niezależnie od tych py-
tań, od pytań pożytku, szkody, ukazać budowę, prawo
wewnętrzne życia, przepych tego organizmu. Nędza, nę-
dza ludzi, którzy mogą tu mówić o Spinozie. Spinoza
otworzył wielki świat, Hegel większy, Goethe jeszcze
większy. Katolicyzm jest wspanialszy niż to wszystko.
Szerszy, potężniejszy, zawiera więcej możliwości.

— A przecież, a przecież nie uda mi się ukryć, że
poza tem wszystkim jest rozpacz! Nie jestem katoli-
kiem, nic nie wiem, mam pewną sumę antypatii i sym-
patyi, ale wiem, że wszystkie one pozostawiają mnie
w świecie ludzkim. Nic poza tem. Nic, prócz pe-

wności, że, tak lub inaczej, to nie wystarcza. Ale w tym momencie jest mi to raczej obojętne. Tylko już nie jak Renanowi lub France'owi. W tej chwili poczułem, że w zestawieniu z Lambem są oni parwenjuszami. Nikogo nigdy nie przekonam o tym fakcie. Wszech W. F. napisze, że jest to paradoks, chęć dziwactwa — wymieni szereg dzieł i w opinii Orkanów i Z. Nałkowskich zmiążdży mnie. Ostatecznie moi życzliwi będą zdania, że to ja przedstawiłem Lamba tak interesującym z mej własnej łaski i nadmiaru. A przecież to jest tylko prawda, prawda, która może mieć też swych fanatyków, ale nie u nas. Może Antoni Lange jest jedynym człowiekiem ze znajomych moich, dla którego ta sprawa, tego rodzaju sprawa nie byłaby obojętna. Źle robię myśląc tak rzadko o Langem. Jest on jednym z tych ludzi, o których myśleć jest dobrze, gdyż dusza myślącego zyskuje przez to zawsze. I znowu nie wiem, z kim go porównać. Jeden Ortwin. Ale Ortwin jest w innym rodzaju. Już zbyt silny może dla mnie. Mądrość Langego jest cichsza, bardziej unizona. Brat Kobyłańskiego Adolf Goldberg zostawił we mnie wspomnienie prawie równie dobre. Wspomnienie, którem można żyć. Rozpamiętując go, myśląc, co by zrobił wtedy lub wtedy, stajemy się lepsi. To są dobre znajomości. Ale poza tem wszystkim, jest zawsze jeden i ten sam fakt smutku i braku nadziei.

Dlaczego Ellis sądzi, że Marek Aureliusz uwierzyłby w każde słowo Blake'a? Nie umiem tego zdania pojąć, nawet się domyśleć kierunku. Co prawda, nie znam Marka Aureliusza — tylko z drugiej ręki.

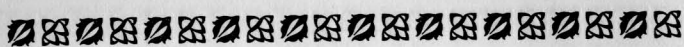
13. I.

Dzisiejsza *Voce* ma artykułik o martwym punkcie w filozofii Benedetto Croce. Artykułik właściwie mało znaczący. Zresztą, co znaczy martwy punkt w filozofii? Żadna filozofia nie wystarcza samej sobie, nie może, nie powinna? Byłoby to zamachem na najgłębszą prawdę — konieczności każdej jednostki ludzkiej. Filozofia jest organem w ustroju duchowego życia jednostki, jest jej filozofią; ale obok niej potrzebujemy poezji, nauki, charakteru, religii. Goethe zawsze wzór: dobrze jest o nim myśleć!

Pierwsze dwa utwory Ben Johnsona od razu wskazują, jak o wiele trudniej było mu przebaczać, niż Shakespeare'owi. Jest to także kryterium siły. Jedno z wielu. Sam Johnson ma w sobie zbyt wiele z Macilente: w złą godzinę wywołał tę postać.

14. I.

Człowiek żyjący takim jak ja życiem może z łatwością łudzić się co do stopnia głębokości sądów



Abstract Human Blake'a i jego *To Thirzah*, całe zresztą *Songs of Experience* zastanawia mię przeciwieństwem pomiędzy lekkością, jakby niedbałym i powierzchownym traktowaniem formy — a rozrzuconą potęgą myśli. W istocie jest tu cała rewolucja duchowa i kulturalna. Cały świat zarysowuje się tu jakby istotnie na widnokręgu dziecięcej wiadomości i spowiada się odrazu ze swych najpotężniejszych rozdźwięków. Fourierowskie uduchowione tylko i uszlachetnione widzenie odrodzonej natury i głębokie samopoznanie źródeł i przyczyn najwewnętrzniejszych, najbardziej ukrytych, nie mniej głęboko ujętych, sit venia verbo, jak zasadnicze fakty ducha przez Kanta — widzenia oskarżającej świat nędzy i światło odkupienia. Wreszcie to wszystko w tym przepysznym dyalogu między Bogiem a ziemią — w dwóch poemacikach otwierających seryę. A wiersz *do Tirzy* — gdzie znaleźć równie przekonaną pewność — tak bez przymusu beztroskliwą — gdzie znaleźć człowieka, któryby mógł stworzyć widzenie złotogrzywego ducha lwiego rodu? Ale tu z wiersza o Tirzie: łzy, sentymentalny nawrót ku sobie, bojaźń o swoje ja, jak jest ono ujęte przez płciowość zadomowioną, łzawą, jako granica zacieśniająca nas we wszystkich kierunkach twórczości. A zmysły wyraźnie ujęte, jako kategorie twórczości nie jako organy biernej informacji. Świat musi najpierw mieć zapach, by miało powód istnieć powonienie. I my to tworzymy zapach, barwę, dźwięk,

są to nasze organiczne dzieła, psychicznie absolutnie stworzone przez nas, wynalezione. Blake jeszcze setkę lat będzie paradoksem. Czy np. jakkolwiek stopień genjuszu krytycznego, może skłonić p. Biegeleisena a raczej obu ich do zrozumienia Blake'a, — przecież musieliby oni na ten czas zwątpić o filozofii mankieta, kołnierzyka i na czysto przepisanego referatu.

15. I.

Jest to ciekawy odcień naszej psychiki: tchórzostwo wobec form. Ile razy zestawiam Blake'a z kardynałem Newmanem, doznaję uczucia obawy związanej zawsze z przeświadczeniem popełnionej niewłaściwości. »Awful« jednak był i sam kardynał, poufałość z nim nie daje się pomyśleć nawet po długim i możliwie zupełnem zżyciu się z jego dziełami. Mogę sobie wyobrazić o wiele łatwiej swobodę w stosunku do Pascala pomimo całej namiętności i energii. Tu jest coś innego. Tak lub inaczej, chcę czy nie chcę się do tego przyznać, działa system wartości uznanych i uznających zarazem: hierarchia, dziejowość. Newman jest egotystą, ale nie jest nigdy sam, nie chce być sam, każde jego zdanie ma korzenie, sięgające głęboko w myśl poprzedzającą go. Dalej to, co można nazwać »le chatié« jego stylu, osoby. Nic ze zjawiska natury. Kulturalność Newmana jest znowu rysem, który przestał być u niego cechą

psychologiczną, — lecz stał się wartością religijną, jest on nawskroś przeduchowiony, tworzy sam siebie w żywiole duchowo ostającym się — sumienia i spełnianej prawdy.

Jest w samej rzeczy powinowactwo pomiędzy wyrafinowaniem wrażliwości artystycznej, a systematami deterministycznymi, materyalistycznymi i t. p. Trzeba mieć prawo uważać zjawisko za nieistotne, za nierzezywiste, aby czuć się zwolnionym wobec niego, jako konkretnego faktu, od wszelkich zobowiązań. Gdy widzimy w niem tylko pozór, . . . je i możemy wyssać z niego całą zmysłową treść. — Jest to nieuniknione i raz jeszcze stwierdza, jak niezmiennemi są prawa kulturalnej krystalizacyi. Trzeba wierzyć, że zmysłowe, — o ile zmysłowe nie ma żadnego teoretycznego, ani etycznego sensu — jest kolorową skrawną w nicości, by mózg oddać się całkowicie wrażeniom, jako całościom zwalniającym, by mieć prawo zabłąkać się w każdej chwili, w każdej barwie jak w świetle z baśni, który nie prowadzi nigdzie. Tak u Lefcadia. Ale Lefcadio zna, czuje noc bezosobistą, ma szerokie aksamitno-czarne, faliste ja poza sobą. Pater jest zrośnięty z sobą i boi się nocy, — a wie, że zabłąkać się naprawdę nie zdoła i chciałby, by chwila zmysłowa mogła być przeżyta jako chwila i jako nieśmiertelność,

sza. Skąd czerpią życie? niewątpliwie z naszego trwałego zainteresowania. Rodzaj tego zainteresowania, trwałość jego — dalej środki, zapomocą których jest rozbudzone, wreszcie wyniki, jakie pozostawia w nas ono — oto różne punkty widzenia umożliwiające obszerną i obiektywną klasyfikację. Życie postaci ma za swe źródło podniecenie naszej myśli, podniecenie, które znajduje w sobie podniecie do trwania, odnawiania się. O ile dzieje się to bezpośrednio, o ile zainteresowanie jest ciągle uczuwane i nigdy nie potrzebuje pomocy woli, przyjemności nawet, ale refleksyjnej — mamy do czynienia z tym darem, który posiada np. Sienkiewicz, w najwyższym stopniu. U bardzo wielkich pisarzy jak Balzaca, Stendhala fenomen nie ma miejsca, tu musi myśleć, jej interes, interes, który nie jest uświadomiony bezpośrednio, trzymać budowę i technikę, chronić ją od luk, przerw. U Dickensa jest ściągłość współczującej ciekawości. Zarówno myśl, jak i bezpośrednio odczucie buntują się często. U Thackeraya mamy pewne monotonne, ale miłe ciepło intelektualne.

Rodzaje zainteresowania, o ile rozważamy je jako przyczyny charakteryzacji życia wymagają subtelnych rozważań. Należy przedewszystkiem bacznie śledzić, czy ma miejsce utożsamienie nasze z postaciami, czy też rzecz obywatela się bez niego. U Dickensa utożsamienie jest powierzchowne, gdyż polega na niemej solidarności wobec czegoś, co zagraża. U Mereditha fenomen wręcz

przeciwny, tu tworzy się z nas myśl bohaterów ich struktura umysłowa i sekret poetycki polega na tym, aby stworzyć stany uczuciowe, bezpośrednio przejmujące, a zawierające w sobie in potentia dzieje całego mózgu, aby wpłatać nas i wetkać niedostrzegalnie w samo krążenie myśli. Opisy przyrody służą u Mereditha często przeważnie w tym celu. Nie jestem teraz w stanie śledzić wszystkich zawikłań tej myśli.

W czytelniku powieści wytwarza się pewne odrębne posłuszeństwo, pewien osobliwy, praktycznie określony choć trudny lub niepodobny do ujęcia w teorii takt. Jest to stan duszy bardzo różny. Godzi się on nieraz z wielką bardzo domieszką dowolności t. j. czytelnik zdaje sobie sprawę, że iluzya powstaje tu za jego przyzwoleniem. Zdaje mi się jednak, że bezpośredni tragizm wyklucza tego rodzaju stan rzeczy. Możliwy jest on tam tylko, gdzie istnieje pewna domieszka ironii, i subtelne uwagi Ch. Lamba o prawdzie gry aktorskiej mogą znaleźć zastosowanie i do tych zagadnień. Pewnego rodzaju fenomeny powieściowego złudzenia powstają tylko przy świadomem przyzwoleniu czytelnika i wymagają tej świadomości. To go zabezpiecza. Pozwala mu uwierzyć w świat o innych, niż nasze, współczynnikach przeobrażeń psychicznych i prawach motywacyi. Stylizm i egzotyzm mogą grać tu rolę czynnika wywołującego, tłumaczącego świadome przyzwolenie. W formie tej można zbliżyć się do tragizmu.

Powieściopisarz nie apelujący do świadomego przyzwolenia musi działać zapomocą innych środków: ciekawości i współczucia, lirycznej hypnozy.

Cel jest osiągnięty, gdy w momencie intensywnej identyfikacji ujmemy, nie zdając sobie sprawy, prawo krystalizacji danej jednostki, jej barwę psychiczną, żywą zasadę jej jedności, prawo rządzące jej fenomenami i gdy to prawo stanie się dzięki magii słowa jakością naszego wzruszenia. Jeżeli to zostało osiągnięte, jeżeli wzruszenie jest dostatecznie silne, jeżeli ma ono korzenie w głębszej naturze człowieka, powstaje to, co się nazywa kreacją indywidualności, żywy człowiek stworzony przez sztukę.

Krytyk i biograf mają do czynienia z temi samemi zagadnieniami, ale pracują w innych warunkach.

Pracują na podstawie intelektualnej pewności, że ich przedmiot był życiem, ale muszą też być zależni od natury tej pewności. Pisarz, któryby pisał biografię Blake'a w terminach jego mitu, lub Bergsona w terminach jego filozofii, gdyby to było wykonalne nawet, utraciłby grunt tego teoretycznego przekonania.

Styl Chestertona jest jednak wielką wadą tego pisarza. Trudno go czytać, nawet gdy go się musi podziwiać.

— Czytam Harrisa o Shakespearze. Nie przeczyta-
łem jeszcze nawet pierwszej części, ale już widzę to
przynajmniej, że Harris ma przed oczyma pewną żywą
i ludzką postać: że Shakespear jest dla niego człowie-
kiem i to człowiekiem, którego on zna i rozumie, ro-
zumie, w jaki sposób funkcjonuje ten umysł. Gdy idzie
o Shakespear'a już to nawet ma wielkie znaczenie. Za-
wyczaj Shakespear reprezentuje pewien mgławicowy
stan duszy, na który składa się wynikająca z naszej sła-
bości mitologizmu chwiejność i obłuda. Nie jest hańbą,
nie jest winą, jest nawet rzeczą dodatnią, a przynaj-
mniej zrozumiałą, że się nie rozumie Shakespear'a. To
przeświadczenie, że się tu ma prawo nie rozumieć, zo-
staje skwapliwie wyzyskane przez wszystkie leniwe i ob-
łudne siły naszego estetyzującego intelektu. Tu mogą
święcić tryumfy bez konieczności psychologicznego spraw-
dzenia wszystkie nasze estetyczne zabobony. Zazwy-
czaj nawet bardzo dzika teoria »twórczości«, musi wy-
legitymować się przez zarysowanie chociażby tez fan-
tastyczne, jak wygląda taka twórczość, jako przeżycie
psychiczne. Ale od czegoż Shakespear, Dante, Homer —
najlepiej jednak Dante albo Shakespear (oczywiście ve-
dyckie hymny mają jeszcze więcej zalet, ale nie posia-
dają niestety, jak dotąd w zbrutalizowanym i zamery-
kanizowanym Zachodzie, dość powagi): nie wiemy, jak
się to dzieje, jak się to dokonywa, ale się doko-
nywa i dzieje np. w głowie Shakespear'a lub Dantego.

Ponieważ nasze głowy nie dorównują tym wyjątkowym, więc — ma się tu fakty, które posiadają wszystkie przywileje rozciągłości. Nie umiem sobie wyobrazić takiego procesu myśli, ale Shakespeare myślał tak.

S. T. Coleridge niewątpliwie zadał mocny cios temu stanowisku chociaż jednocześnie — takim już jest paradoksalny fatalizm jego myśli — on sam świadomiej, niż ktokolwiek inny tworzył mit Shakespeare'owski. Dla S. T. Coleridge'a Shakespeare był »słonecznem okiem« Plotyna, ucieleśnioną intuicyą, nieskończonem potwierdzeniem, ale właśnie, aby dowieść sobie, że Shakespeare był tem wszystkiem, burzył on mit żywiołowego Shakespeare'a, który sam nie wiedział, co tworzy. Dla S. T. Coleridge'a Shakespeare przynajmniej dla samego siebie był rzeczywistością psychiczną.

Właściwie dramat Prometeusza jest między bezwzględną samotwórczą swobodą i koniecznością, istnieniem. Shelley przekrzywia oś — czyniąc Jowisza okrutnym.

XX

21. I.

Światopogląd takiego poety jak Shelley naraża na niebezpieczeństwa pedantyzmu każdego, kto chce go zde-

finiować. Pamiętając o tem, jednak musimy starać się o możliwie najwyższy stopień określoności. Zawsze wydawało mi się, że w umyśle Shelleya idee Platońskie stawały się czemś nowem i nieprzewidzianem, że przeobrażały się one w zmysłowe i namiętne siły. Jeżeli na miejsce Boga Berkeleyya postawimy namiętności i upodobania artystycznej natury ludzkiej, zdobędziemy klucz do budowy umysłowej poety.

Wątpię, abym mógł z tymi środkami, jakie mam i będę miał pod ręką, dopracować się do żywego widzenia indywidualności Shelleya. Dowden jest tak »respectable« »very nice« a wszelkie wybory listów są wyborami.

Nie powinienem dać w siebie wmówić, że tego rodzaju krytyka, jak moja, jak ta, do której jestem zdolny, nie ma racji bytu. Moja krytyka wyrasta z filozofii, jest przede wszystkim i bardziej, niż czemkolwiek innem metodą filozoficzną. Nie filozofia metodą krytyki literackiej, lecz krytyka metodą filozofii. Kto rozumie moje stanowisko filozoficzne, nie może być zdumiony. Krytyka wciąga do współpracy właśnie historycznie ukształtowane życie ludzkości. Tu jednak chciałem zaznaczyć co innego. Manzoni oddawna wydaje mi się ważnym przedmiotem studyów. W samej rzeczy włoski romantyzm różnił się głęboko od niemieckiego, naszego, angielskiego, i gdy odwoływał się do tradycji

narodowej — odwoływał się nie do żywiołowego życia duchowego mas bezhistorycznych, lecz właśnie do wysokiej i głęboko świadomej kultury. Manzoni usiłuje stworzyć demokratyczną literaturę, styl, bliższy życiu i sercu. Stworzyć. Niema tu złudzeń ludowości. Ale na razie wiem bardzo mało o Manzoni.

Spirit of the age — czy nie możemy sobie wyobrazić momentu, w którym Shelley i kardynał Newman byli bliźcy niemal aż do tożsamości w swem widzeniu świata. Chociażby już w chwili czytania owej *Kehamy*, której wciąż nie znam i której np. Lamb już nie był w stanie, nie chciał, czy nie umiał odczuć. Czem są nasze najbardziej zaostrzone przeciwieństwa, zamknięte w granicach naszej generacji — w porównaniu do ludzi innych pokoleń, epok, ludzi nawet, z którymi teoretycznie czujemy się spowinowaceni. Postaw np. kardynała de Retza lub Campanellę obok Newmana i Shelleya — a cóż dopiero jakiegoś Egipcjanina, Persa, Hindusa. Właściwie można nabrać lekceważenia dla kulturalnych konstrukcyi naszego wnętrza — gdy się zrozumie tragiczną władzę tego ostatniego.

Moja powieść na całe okresy czasu staje się dla mnie rzeczą trudną do zniesienia. Zdaje się jednak, że

w porównaniu z *Płomieniami* stanowi ona krok naprzód. Znowu wystrzegać się muszę myśli, co też mogą prawdopodobnie mówić o tej powieści »rodacy«, jak oni ją będą widzieć, ale zamknąć się w niej, zamknąć możliwie najszczelniej.

Nieuniknionem jest i będzie oskarżenie cynizmu. Nie wybaczą mi ani Jadwigi, ani Gertrudy. A przecież są to postacie traktowane *modo geometrico*.

O zgorzeniu nie może być mowy.

Przeciwnie zarzutem jest brak pierwiastka della *voluttà*. Natalja Trawka i Flavel odgrywają wielką rolę. Scena między nią a księżną milcząca w oranżeryi. Domenico Giava — obok. Ten dygnitarz zakonu Jezusowego.

Następca tronu. To są tony sympaty. Z nich trzeba wydobyć silny ton Swiftowski. Ten rozdział ma wielkie znaczenie, jeden z kluczy. Klotylda w Rzymie.

Pius IX — Nie bać się i być swobodnym.

Tak samo z Garibaldim.

Mazzini mię niepokoi, gdyż nie chciałbym go ani skrzywdzić, ani pozostawić w stanie papierowym. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że go nie lubię. Myślę, że nie lubię także Garibaldiego.

Co do Cavour'a nie mam tych wątpliwości: sympatyja jest tu bliska i łatwa dla mnie. Cattaneo? Nie znam go. Myślę, że był naprawdę uczciwie *borné* poza czystym intelektem. Tu miał jednak więcej krwi

i mięśni niż Ferrari, choć Ferrari jest o tyle świetniejszy.

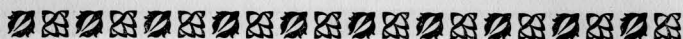
Renan mnie ciągnie. Gdybym miał jego dzieła — napisałbym o nim dobre studjum. Papini wtedy w części miał tylko słuszność. Mojej izolacji i ogołocenia nie umiałby sobie on wyobrazić.

Jak szczęśliwy mogłem być jeszcze w tych czasach, gdy czytałem po raz pierwszy Renana dialogi, dramaty, inne pisma filozoficzne w Otwocku. Matka moja jest nieszczęśliwa — to niezaprzeczalne. Nieszczęśliwa tak tragicznie, że boli sama myśl o niej, że nie wystarcza sił, by ją sobie wyobrazić. Czuję to wszystko. Moi biografowie (będę ich miał, to już nieuniknione i zresztą dla mnie obojętne) będą mówili o mojej obłudzie. To nie będzie całkiem słuszne. Szczerze cierpię. Od czasu gdyśmy się rozstali w ciągu roku 1901, przed dziesięciu laty, nie myślałem o niej nigdy bez bólu. Jednocześnie nie zrobiłem tysiąca rzeczy, które zrobić byłem powinien. Niektóre z nich były w mojej mocy. . . .

Gdy rodzice w 1897 roku przyjechali do Warszawy los mój był postanowiony. Już był tylko wybór formy zguby i ta trwała aż do roku 1901. Gdybym nie był spotkał Toni, najprawdopodobniej fizycznie bym nie żył, a może wyrósłbym na zbrodniarza i zgnił w kryminale,

litej niepodległej, pojęta, jako manifestacja natury ludzkiej i źródło głębokiej wiedzy o człowieku. Lękam się, że ani jedno nazwisko nie wytrzyma najwyższej miary, że co najwyżej Skarga ma prawo do bezwzględnego uznania w swoim zakresie, bo Kochanowski nie zastąpi ani Shakespeare'a, ani Danta, ani zapewne nawet Spensera lub Aryosta czy Tassa. Ale jeżeli już, to najwyżej może rościć sobie prawo do miejsca obok tych ostatnich.

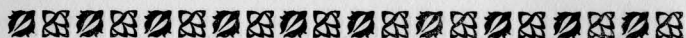
Jak zimnie i płytko intelektualną wydaje się nam cała »mitologizująca« twórczość Shelleya w zestawieniu z Blake'm. Mamy tu właściwie zawsze do czynienia tylko z wzruszeniami, wrażeniami zmysłowej przyrody, które stają się potęgami intelektualnego świata, dzięki zasadniczym właściwościom tej transpozycji — Berkeleyanizmu i Platonizmu, która stanowiła filozoficzny światopogląd Shelleya. *Prometeusz* musi rozczarować każdego, kto podda czar analizie. Czar tego poematu nie jest zdrowy: nie jest to męzka radość myśli. W gruncie Shelley, który bronił bukolików i idylików z czasu upadku — nie całkiem był bezinteresowny. Jest to po części i jego własna sprawa. Nie sędzę, aby można było mówić z zupełną ścisłością o poezji przestrzeni. Nie wiemy, w jaki sposób została ona tu wytworzona. Gdyż psychika jest tu bierna. Charakterystyczną już jest zaczarowana wę-



stanne. To naturalnie nie będzie się wydawało bluźnierstwem: przeciwnie. Dla mnie to ponowne odczytanie *Prometeusza* było wielkiem rozczarowaniem, na które nie byłem przygotowany. Myślowo jest to utwór całkowicie bezpłodny, nie wychodzimy poza ogólniki; ani jednej głębszej intuicji. Pozostaje Shelleyowska przyroda odurzająca i fałszywa. Jak strasznie niżej stoi *Prometeusz* w zestawieniu z *Nieboską*, *Kordyanem* — nie mówię o III-ej części *Dziadów*. Ale przecież nawet z *Kainem* nie można go porównywać. Co zaś już mówić o Ajschylosie. Chora to poezja, chora myśl, słaba dusza. Oczywiście jest, że świat S.T. Coleridge'a, poetycki świat zrealizowany w nielicznych utworach jest zjawiskiem zgoła innej potęgi. Cecchi jest blagierem. Powtarza on, a nawet wymyśla ograne, stęchłe zestawienia, które dezoryentują.

Nie należy mieć litości — trzeba być brutalnym w prawdomówności.

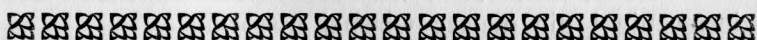
Czytałem także wczoraj po raz drugi *Sułkowskiego Żeromskiego*. Nimem wziął tę książkę do ręki przerzucałem dwa Zrębowiczowskie wybory pism Norwida. Naturalnie dzięki temu Sułkowski wypadł jeszcze fatalniej, chociaż nie sędzę, aby można było skrzywdzić tę rzecz najostrejszym sądem. Czy jest możliwe, aby Żeromski łudził się. Co znaczy ta opętana »Muzyka«



Nudno i smutno; najzupełniej bezcelowo.

Jasnem, jak słońce, że trzeba myśli, filozofii, entuzjazmu i fanatyzmu myślowego i jednocześnie takie już znużenie, takie straszliwe znużenie.

Ci panowie z Kas y Mianowskiego do 25 nie przysyłają swej kwartalnej »pomocy«.



26. I.

Wiek XVIII. był właściwie stuleciem czystej towarzyskości. Była ona żywiołem zasadniczym, w którym rozstrzygały się najważniejsze sprawy. Niewątpliwie w tym świecie toczyły się walki o byt również śmiertelne, ale broń była osobliwa. Ginęło się wskutek niepowodzenia towarzyskiego typu. Dało to połączenie miękkości i perfidy. Można zrozumieć, że dziwny dywanowy fałsz tego życia, w którym istotnie uśmiech, szept za wachlarzem zabijał — mógł doprowadzić J. J. Rousseau do szaleństwa. Tu jest jeden z punktów, co do którego zgodzić się nie mogę z Ortwinem. Rousseau jest i nam potwornie bliski. To nie Tołstoj. Pod żadnym względem. Ale wracając do XVIII wieku — to stulecie wytworzyło przepysznych magnatów życia, ludzi, których nigdy nie można było zaskoczyć w stanie towarzyskiej bezpłodności, którzy promieniowali nieustannie energią i byli nie do zwyciężenia. To Sheridan, to Mirabeau, to zape-

wne Burke, do pewnego stopnia, to Beaumarchais. To jest dla mnie najpiękniejszy typ ludzki tego stulecia.

Tołstoj powiada, że *Król Lear* nie może się nikomu podobać, kto nie jest w stanie pewnej sugestyi. Ale przecież cała sztuka, cały artyzm jest zawsze pewnym rodzajem algebry wzruszeniowej, wyzwalającej sugestję. Powiedzieć, że to jest *sugestia* nie znaczy jeszcze nic powiedzieć. Można mieć zaufanie do pewnych sugestyi, chcieć ich. To się nazywa ciągłością kultury.

Nie lubię Tolstoja, nie uważam go za odważnego człowieka; jestem prawdopodobnie oschłą o ciasnej skali wzruszeń i sympatii naturą, ale nie rozumiem, a właściwie nie szanuję odwagi nieintelektualnej, odwagi, która powstaje na gruncie odpowiadającego naszym wzruszeniom, czy wymaganiom intelektualnego obrazu świata.

W gruncie rzeczy do Tołstoja, do jego najpiękniejszych z zewnątrz wystąpień — w rodzaju „He могу молчать“ stosuje się to, co S. T. Coleridge powiedział o trudności myśli: Łatwiej jest wisieć na haku.

Swoją drogą tylko zaślepiiony, zamknięty w swoim własnym stanie duszy poeta mógł nie rozumieć powinowactw. Czyż nie był w najpiękniejszych chwilach Tołstoj właśnie królem Learem i czy nie jest to najbardziej sprawiedliwy punkt widzenia, gdy traktujemy jego pisma, jako monologi tamtego potężnego widma.

rzewających zwolna po przeczytaniu.

Carlyle nie interesował się i nie widział powodu, dlaczego miałby interesować się Shelleyem; o Keatsie znam tylko jego bezwzględne powiedzenie o odgrzewaniu zdechłego psa. Ale co do Byrona mówi, że »pomimo« wszystko, było w nim coś, pewna siła. W samej rzeczy widzenie świata Teufelsdröcka i widzenie świata don Juana mają pewne powinowactwa. Keats rzuca przekleństwo z wyżyn idealizmu na bawiący się własną siłą cynizm. Shelley mówi, że hrabia Maddolo uwierzył w swą wyższość nad ludźmi, że ta wiara mu przesłoniła świat. Odnajdujemy tu więc rdzeń: Byron jest mniej zarażony ideologizmem, jego sentymentalizm posiada formę bardziej męską, i to do pewnego stopnia tłumaczy go w oczach Carlyle'a.

Shelley wierzył w absolutną samostwarzającą się swobodę: Browning nieustannie walczył z zagadnieniem tak pojętej indywidualności i jej możliwością istnienia pomimo to w świecie, w jakimś znaczeniu, jednym.

Myślowo tu jest związek.

Ale Cecchi ułatwia sobie sprawę. Frazeologia w kry-



28. I.

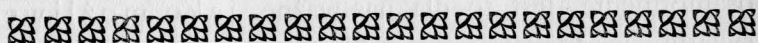
Świat, do którego wprowadzają nas nowele Bandella, nie łatwo jest dostępny. Miłość jest tu nieustannie działającym interesem życia: jednocześnie jest ona faktem fizycznym, fizyologicznym widzianym tak jasno, że nie możemy nawet użyć wyrazu cynizm dla karczemności (?) tonu(?). Działa ona i to działanie jest uznawane, ale jakby bezpsychicznie. Ten Włoch wie, że w rozwoju tego faktu są fazy nawskroś uczuciowe i myślowe, monoideizm erotyczny, uznaje on bez wahania konsekwencye tego stanu rzeczy t. j. bezwzględną niemal władzę miłości, ale te psychiczne ogniwa pośrednie nie interesują go. Istnieje dla niego jakby sam giest jednocześnie trywialny i wspaniały. Humor zdaje się być nieobecny, przynajmniej w głębszych formach. Nie możemy odnaleźć żywego centru tego świata: odbudować w sobie jego uczucia. Jednocześnie oschle okrutnego i władającego. Namiętności niesentymentalnej. To właśnie więc. Namiętność jest tu przyjęta jako fakt natury. Bandello przyjmuje ją, ale się z nią lirycznie nie utożsamia. Intelaktualnie, ale tylko intelektualnie jest wobec niej swobodny. Niewątpliwie musiał on być drogi Stendhalowi i Mérimée'mu. Jednak jest on inny od nich. Ego, nasz twór XVIII i XIX wieku, choć już zakładane były w jego stuleciu podstawy, nie istnieje w jego pismach świadomie. Nie sądzi on namiętności i nie buntuje się przeciwko jej niewoli. Nie utożsamia się z nią, t. j. nie

cyą obłudy, tchórzostwa myślowego, zanikiem twardej woli obywatelskiej i politycznej. Wierzy się w lud. W istocie nie wierzy się tylko w siebie. Ale wierząc w lud zyskuje się mistyczny grunt dla nadziei i programów politycznych, za które myśl nie pozwoliłaby nam przyjąć odpowiedzialności jako za własną działalność. Tam, gdzie widzimy niemożliwość i braki, tam wysuwa się mglista myśl, że na tem właśnie przecież polega posłannictwo ludu, że on dokonać zdoła rzeczy, których my nie umiemy nawet pomyśleć. Wolno więc nam jest mieć wiarę dziejową, nie mając woli. Temu ludowi my dostarczamy wiedzy i myśli. Ta wiedza ma być tylko pierwszym przedwstępnym krokiem. Może to nie być więc uznawana przez nas wiedza. Twórczość ludu z tej fazy wydobędzie prawdę. Na razie to nie jest prawda dla nas nawet. I tak wolno nam mieć wiarę nie mając prawdy, nie troszcząc się o nią. Wolno żyć poza dążeniem do prawdy, do krytycznie wytkniętego i sprawdzonego celu i zachowywać przeświadczenie do datniości własnej, więcej: przodownictwa i poświęcenia. To są czynniki psychiczne z których wyrastają dziś nudy oświatowe. To jest przyczyna, że dzisiaj znowu wydaje się to drogą prowadzącą z rozbicia. Jest tu możliwość wyzwolenia się od odpowiedzialności a zachowania samoocen, do których prawo nam daje tylko odpowiedzialność skutecznie i czynnie podejmowana. Historyk fałszów, które żarły i trawiły, zatruwały i niszczyły

Byrona.

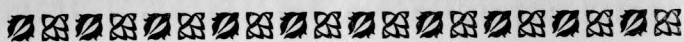
2. II.

Oto może (łagodnie) choroba duchowa Irzykowskiego. Przystępuje on do każdej sprawy z punktu widzenia zapoznającego, że dla tworzącego tę sprawę najważniejszą jest rzeczą, aby była ona stworzona. Gdy Irzykowski ją rozważa, jest ona już. Wtedy koncentracja ta wydaje mu się dowolnością, niesłusznym upraszczaniem, uprzywilejowywaniem pewnej przypadkowości. Najważniejszym wydaje się dla niego zawsze to, aby sprawa była dla niego interesująca, nowa, lub by mogła być przez niego przedstawiona w sposób nowy, niepraktykowany dotąd, interesujący. Stąd jego nudne i wstrętne muchołapstwo duszy. Basta. Dość o Irzykowskim.



3. II.

Irzykowski jest ślepy i głupio zły. Pisać Polakom, że historia sama się robi, że wskutek tego plany historyczne, o jakich pisałem ja, a przedewszystkiem już w swoim mądrym, głębokim i męskim artykule p. Koneczny, jest rzeczą niepotrzebną, jest wszczynaniem kwestyi sztucznych — to już szczyt ograniczości. A ci panowie z »Widnokręgów« z tą samą dobrą miną dobrze wychowanych chłopczyków przełknęli artykuł Konecznego i drukują teraz kwasy starokawalerskie Irzykowskiego. To wydaje się im bezstronno-



to właśnie niezaspokojoność, bezwzględność, nieustraszo-
ność dążenia do prawdy.

Trzeba ignorować — ignorować jakby nigdy nie
istniał ów brzuchomówczy, świegotliwy element Tersy-
towski. Trzeba coraz pogłębiać fundamenty i coraz wy-
żej wznosić wały, mury, palisady i strażnice.

Być samym. Bez chęci nawet i żalu, by było ina-
czej. Nie polemizować. Pisać w stylu konstatowania
i kształtowania rzeczywistości, zupełnie nie dostrzegając
Biegeleiseniady, Irzykowszczyzny, Zofii Nałkowskiej
i tutti quanti.

Naturalnie, *** nie wytrzymał i sprowadził sobie Wei-
ningera. Po co, naprawdę, tym wszystkim dyletantom
życia — filozofia. I te frazesy, te niepowstrzymane po-
toki frazesów. Boże, daj mi wzmacniać dnia każdego
moją biedną wolę.

Nie daj się zahypnotyzować, że prace twoje są bez-
użyteczne, że nikogo nie obchodzą, nie trać z oczu,
że tylko wielka systematyczność, tylko nagromadzenie
wielkiego materiału konkretnego i opracowywanie go za-
wsze z punktu widzenia, z jakiego jest on dla ciebie
ważnym i interesującym, może zapewnić znaczenie i zdol-
ność trwania, oraz rozwoju twoim studyom. Cóż stąd,

że taki Macaulay pozornie uniemożliwia samym to-
nem, stylem swej osoby stosowanie do niego miary,
dajmy na to, religijnej. Wiesz, że religia odsłania osta-
teczne tajemnice człowieka — nie lękaj się paradoksalno-
ści, lecz bądź stanowczy i charakteryzuj nie drżącą ręką.
Nie zapominaj, nie zapominaj nigdy, że pomimo wszy-
stko istotnie w każdej chwili wolnej usiłowałeś wznieść
głowę ponad piaskowiska porywające ci duszę i myśli
— i badać, poznawać. To jest duma, to jest godność
twoja. Urodziłeś się myślicielem i nie zastałeś miejsca
dla tego typu ludzi w społeczeństwie. Od wczesnych dni
dzieciństwa poiono ci automatycznie, uporczywie prze-
świadczeniem o »nierealności« twoich instynktów. Ode-
brano ci dobre sumienie w tem, w czem mieć je mogłeś.
Miałeś i umiesz jeszcze mieć upartą niezłomną prawie
wolę i nie masz przeświadczenia, dobrego samopo-
czucia tej woli. Tak żyłeś przez długie lata. Przez długie
lata dojrzewał w tobie charakter, któremu byłeś wierny,
ale jako występкови, jako brakowi charakteru. W ten
sposób wypaczona dusza nie wyprostowuje się już ni-
gdy. Jesteś garbaty moralnie i fizycznie. Teraz przy-
najmniej nie daj się zatrwożyć. Dzień po dniu zbieraj
fakty, ucz się tworzyć je z własnego wnętrza, roz-
szerzaj łączność swą i pokrewieństwo z całym pracow-
itym i męznym gatunkiem. Nie dbaj, gdy ci będą po-
sądzać, że czynisz to przez próżność, chęć popisania się
nowemi nazwiskami. Miałeś tę wadę, masz ją w stopniu

mniejszym. Nie jest to wada nazbyt trująca, lepiej byłoby, żeby nie była ona osłabłą, jeżeli wraz z nią osłabnąć miał naiwny pociąg do zdobywania nowej wiedzy. Wola musi dźwignąć wszystko, czego już instynkt, pociąg i namietność nie dźwigają. Nie pomoże, gdy będziesz mówił o wielkości umysłu europejskiego, musisz nakreślić jego dramat, nakreślić w stu, w ilu zdołasz, patetycznych, ale myślowo tylko — rozdziałach. Musisz ukazać całą dramatyczną nieprzewidzianość, cały polimorfizm prawdy, rozkochać w niej umysły, jak w poszukiwaniu przygód.

Mój Boże! Gdybym młodość spędził poznając ten dramat — dramat istnienia Michała Anioła, Lionarda, Galileusza, Kartezjusza, Bacona. Ojciec przecież widział, jak kurczowo zaciskały się palce na każdej książce, na literaturze Scherra, na XVIII wieku Schlossera, na Julianie Schmidcie, na Brandesie, na każdym tomie, który przynosił mi wieści. Dlaczego mnie tak zostawiono, dlaczego skazano na ugorowanie, na bezpłodną fermentację — całe warstwy, całe zakresy mej duszy.

Turgeniew — na zawsze powinno to być święte dla mnie imię. Ojciec dał mi Spasowicza (miałem 14 lat) — to nie był najgorszy podarunek — nie skorzystałem tak, jakbym mógł, ale skorzystałem z studyów o Hamlecie, Byronie. Te zaś o Syrokomli, Polu nie-

Przekłeta rzecz niektóre wspomnienia. Podłość i jeszcze raz podłość pewnych scen. A przecież było to rozprzężenie konieczne, pamiętam fakty, ale nie zdołam ocenić krzywdy, jaką wyrządziłem sobie w tym ostatnim roku. A przecież, gdym się włóczył z Nikołajewym, K..., M..., po szynkach i tych strasznych norach, które dziś przerażają w wspomnieniu, właściwie jak maniak rozmawiałem o Buckle'ach i Draperach — jak szydził biedny Zieńkowski. Nie wielką ma wartość czystość fizyczna. Zachowałem ją faktycznie. Byłem z pół setki razy dla towarzystwa, po pijanemu z zwierzęcej ciekawości w domach rozpusty i odgrywałem tam rolę Pierrota — obserwatora, śmieszną i ohydą. Ale najstraszniejsza była ta noc, gdy 13 letni Adaś wyszedł za nami ze stancyi i wślizgnął się do tej jaskini. Nas było przytem czterech ośmnastoletnich młodzieńców i patrzyliśmy z filozoficznym spokojem na dowody dojrzałości obiecującego pupila. To nie powinno być przebaczone. Jeżeli żyje ten człowiek, ma prawo żądać od nas satysfakcyi, najwyższej, niepodobnej satysfakcyi. T. zginął na delirium tremens, K. pewnie poszedł za nim. N. jest pewno gdzieś urzędnikiem. A ja? Zrobiliśmy sobie obaj wówczas ciężkie krzywdy. Analiza, skąd to zjawisko? Ten fakt Adasia, jego coup d'état. Mój Boże, tego się biedny pan Jan pewno i nie domyślał. Biedne, biedne stare dzieci, ci dzierżawcy W*** — owi szatani kusiciele w opinii mej matki. Ach Mamo! Jak to wszystko dzisiaj przed-



owane przez R. Inge'a w jego książce o angielskiej mistyce, dostarcza nam tu metodologicznego klucza. W gruncie klucz to jest przez Newmana z przedziwną czarującą subtelnością raz na zawsze przysposobiony. Mickiewicz u nas (a całe chrześcijaństwo zawsze i wszędzie) był tej metody w krytyce i filozofii, w całym królestwie ducha — a więc myśli i czynu — zwiastunem i głosicielem. *Qui facit veritatem*. I on — tylko. Ale Martineau dołącza pytanie: jak ją pełni, jak często, w jaki sposób, co znaczy pełnić, słowem postępuje według najrdzenniejszych i istotnie drogocennych praw umysłu angielskiego. Freeman pisał *Growth of English Constitution*, ale dla filozofa pokusą jest inne zadanie: *growth of English mind* i może, jako podtytuł: lekcya logiki pogładowej, lub też: jak zbudowana jest dusza ludzkości. O potędzie — i to właśnie filozoficznej, metafizycznej obrazu, jaki roztoczyłoby rozpatrywanie tego rodzaju — Polacy i nie tylko Polacy nie mają wyobrażenia, a nie mnie widać danem będzie wniknąć do tego królestwa. Znów choroba nieoczekiwana i paralizująca. Co się stanie z nami, z biedną myślą i biedniejszą jeszcze rodziną moją. To także należy do mojego *facit*. Ale trzeba mieć odwagę, a wtedy wrośnie i ta choroba, jako władza w jakość umysłu i dzieła. Tylko że odwagi nie staje i żal myśli niedosnutych. Dość o tem. Milcz i służ. Ale myśli moje daleko... jak daleko odbiegły. Pierwotnie myślałem o *Courierze* i teraz ze

zdzumieniem widzę, że pozornie tylko był to ekskurs. Tacy publicyści jak Courier są straszni, bo woła działa w nich jako artyzm, jako rozplawiony w artystycznym, nie wzbudzającym podejrzenia widzeniu, temperament. Ale tu dopiero Qui facit i Martineau'wskie kategorie i punkty widzenia. Pedantyzm? Tak w ręku pedanta. W ręku filozofa, poety, wejście w głąb dziejów, duszy francuskiej.

██

10. II.

Podłe uczucie obawy śmierci. Trudno zorientować się, gdzie zaczyna się czysty strach osobisty. Pomimo wszystko myślę, że w stanie duszy, który mnie dręczy odnajduję tylko: obawę o Irkę i żonę i żal po przerwanem życiu myśli. Nie sądzę, aby było coś więcej. Staram się zajrzeć głęboko w duszę własną i nie znajduję w tej chwili tej słabości. Ale pragnę żyć, ale lękam się choroby, ale doprowadza mnie do rozpacz mechaniczna, bezmyślna siła, która mnie dławi.

██

12. II.

Browning — jak łatwo sformułować, jak szybko, nieostrzegalnie zsycha się dusza. Bezżyteczność wszystkiego, nie zostaje nic z natchnień, nie zostaje nic dla nas — dla własnej naszej duszy. Cóż z tego, że jest to

nazewnątrz utajone w możliwościach, które mogą się rozbudzić. Można znienawidzić wszystko, co jest czuciem, jego wspaniałością i wysubtelnieniem. Tak to oddziela się i opada jak łuska. Dochowanie wiary samemu sobie — w czym? W postanowieniu, w kierunku życia. Frazes. Frazes demagoga. Jest potrzebna taka wierność. Ale jak zapewnić trwanie chwili drogocennej, widzeniu, wzniesieniu się duszy, jak je wrzeźbić w duszę, sprawić, by były w niej. Każdy człowiek ma takie chwile, w każdym człowieku jest potencjalnie pełny cykl ludzkiego istnienia, ludzkiego — a wszystkie kosmologie i metafizyki, to epizody biografii, to czyjś puls przyspieszony, czyjś błysk oczu — to wszystko w człowieku. Każdy ma w sobie Boga — stworzenie świata — upadek — odkupienie — całą tragedię bytu, która okolona jest przez ciemną noc, nie mającą znaczenia, ani nazwy w ludzkim życiu. Co nie jest biografią — nie jest wogóle. Co sobie przypisuje ponadbiograficzne, ponadkonkretnie indywidualne znaczenie jest właściwie mniej rzeczywiste. *Apparent failure* Browninga — trzeba długo i sumiennie myśleć o tego rodzaju utworach. Trzeba wżyć się w nie, w ich powagę dla poety, aby zrozumieć, jakim błogosławieństwem dla Anglii była jego twórczość.

Młodszość cywilizacyjna Polaków, pisał Szujski. Boże miłosierny, siwieją już włosy, starość odbiera rzeźkość

i sprężystość wiązaniom członków i wciąż nie młodość — ale lekkomyślność, zuchwała niedorobłość. Zuchwalstwo jest bezpłodne w myślowym świecie. Warchoł nie widzący grozy, przekrzyczeć usiłujący tragizm nieunikniony — nie dojdzie nigdy do źródła prawd płodnych. Bezreligijność myśli polskiej jest zdolna doprowadzić do rozpacz. Tu wypowiada się jakby instynktownie wyuczony brak wszelkiego związku z długotrwałymi, powszechnie dojrzewającymi sprawami życia gatunkowego. Nie chcemy mierzyć samych siebie wielką miarą.

Jak strasznie i beznadziejnie jestem sam. Moi uczniowie, mój Boże, mój Boże, najbardziej już sam jestem wobec moich »zwolenników«. Znaleźć siły — by nazwać w potężnych symbolach — wszystkie choroby i zdradliwe obłudy polskiej natury — ukazać je świadomości w silnym i jasnym dziele.

Kroniki dramatyczne, Rozbiory, — Napoleon i dzi, r. 31—63 to mogło być moje dzieło. Miej odwagę chcieć, miej odwagę dążyć, miej odwagę trwale, uporczywie, jednolicie myśleć.

Wola pisarza, opanowująca całą jego naturę, wrastająca w samo dno instynktów, od korzeni przeistaczająca i opanowująca naturę samą popędów, zmysłowego czucia — jest początkiem i źródłem stylu w wielkim znaczeniu. Miej odwagę — męstwo nieustannego

przepajania każdej chwili myślą, nie toleruj w sobie żadnego obojętnego momentu, lecz staraj się dopracować łączności każdego atomu duszy z wielkiem prawem. Niech to będzie twoją nieustanną religją.

Moi przyjaciele! Wiecznie zadowolony, ćwierkający***. Skąd wrosło w te wszystkie umysły przekonanie, że życie powinno być przyjemne, przyjemne dla nich, i że gdy nie jest, ma to jakiegokolwiek znaczenie godne obiektywnego opracowania.

Wnet wciąga się w dyskusję społeczeństwo, Polskę, byt, dlatego tylko, że tu w tej lub innej indywidualnostce nastąpiła przerwa »w odczuwaniu przyjemności«.

Gdy czytam książki krytyczne, filozoficzne pisane przez poważnych pisarzy angielskich lub francuskich, jak np. teraz R. Inge o mistykach angielskich, a przedewszystkiem rozdziały o Wordsworth'cie, Browningu, doznaję uczucia, a właściwie widzę dokładnie, że byłbym w stanie pracować na tym poziomie. Przez to określenie »na tym poziomie« rozumiem, że posiadam aparat ogólnego przygotowania kulturalno-literackiego wystarczający, by nadać mojemu głosowi ważkość i konsystencję zewnętrzną, zabezpieczające prawo do mównicy. Zdaje mi się bowiem, że myślowo byłbym w stanie dać więcej, sięgnąć głębiej już dziś nawet na obcym terytoryum. Ciężkie i smutne nie-

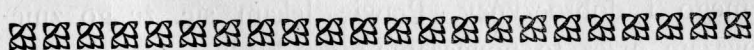
Pamiętnik Brzozowskiego.

węzły zapewniać by mu się zdawały cieplejsze rozumienie — nie stałby mi się tak blizkim, gdyby *Grammar of Assent* nie wyposażyła mego umysłu w męski organ tolerancji. Tolerancja i sympatia stają się łatwo centrami rozkładu i dezorganizacji, jeżeli myśl musi je krzywdzić. Newman — J. H. N. uchronił mnie od tego niebezpieczeństwa.

Pierwsze ogólne założenia mojej krytyki zostały wytworzone przez studia Taine'a i miłość do niego. Miłość, która znowu wyszła z nienaturalnego i występnego z mej strony zaćmienia. Potem był okres, gdy Nietzsche najsilniej ciążył nad myślą krytyczną. Nietzsche i oddzielne intuicje, natchnienia. Sorel wywiódł mnie z tego stanu. Sorel, Bergson i Carlyle, ale etyczne jądro, pojęcie jaźni, osobowości — szczyt, gwiazda wykreślająca prawa tych wysiłków — była tu wciąż przesłonięta obłoczkiem, obłoczkiem, który powstawał z poczucia, że jest luka między postulatami myśli, a jej organem, że nie umiem własnego postulatu realizować, lecz muszę liczyć na pomoc elementu lirycznego i nawet — niestety (*mea culpa*, choć było to zawsze w znacznej mierze bezwiednie — ale było jeszcze nawet w *Legendzie*) demagogicznego. Dla tego z taką przyjemnością myślę o dojrzałej części *Idej*, dlatego jestem tak przywiązany do tego tomu, że jest on pierwszy.

10*

bości. Ani postanowień nie chcę tu pisać, ani modlitw. Wierzę w cichą przemianę na dnie duszy, w obecność siły, która przeobraża, leczy i wyzwala. Nic nie mogę napisać więcej — już przemaga znużenie i przesłania jasność. Teraz mogłyby już tu być tylko słowa.



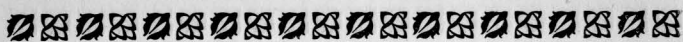
13. II.

Pałubizm. Irzykowski też przesunął się po obreżu pewnego osobliwego mistycyzmu i jeżeli nie rozwinął go, jeżeli poprzestał na zdradzającym go poniekąd gorącym zobrazowaniu świata Machowskiego, to nie sędzę, aby było to skutkiem samej tylko wyłącznie jego wstrzeźliwości, która powściągnęła liryzm. On zapewne tak to sobie wyobraża i tłumaczy. Każde słowo, każde wypowiedzenie wypowiada, ukazuje, uwydatniając i naturalnie jednocześnie wykluczając, upraszczając, fałszując. Te dwie strony słowa są dwoma jedynie w abstrakcyi, w żywej rzeczywistości to jest jedna i ta sama właściwość, ten sam proces. Irzykowski widzi — stara się widzieć tylko tę wykluczającą, fałszującą stronę. Widzi, że poza granicami słowa pozostaje świat nienazwany. Niewątpliwie ma on tu słuszność, gdyby nie to, że u niego ta nienazwanosć, niespójność, odpadkowość z kolei stają się wykluczającą inną postacią rzeczywistości. Nie zdaje on sobie sprawy, że utrwała zawsze to, co nie stało się jeszcze myślą, lub nią być

przestało: odpadki, skostnienia, niedojrzałości składają się na ten świat, jego zdaniem, prawdziwszy. Trudno chyba o drugi równie wybitny przykład, by ktoś uczynić zdołał siłę swą z tego, co jest słabością, z niezdolności decyzji, woli, stanowczości, jasnego życia, by ktoś umiał stworzyć grunt z braku zrozumienia i współczucia dla wielkich upraszczających i syntetyzujących interesów życiowych ludzkości. Dla tego tak trudno jest mi pisać o Irzykowskim, studium o nim musi być albo bez wartości, albo też nad miarę może dopuszczalną w krytyce — okrutne. Gdy się jednak zna naturę pisarskiego umysłu, można się obawiać, że prędzej, czy później zajdzie coś takiego, co wytworzy we mnie impuls nie do przezwyciężenia i wtedy wypowiem się z głębi piersi. Nie lubię Irzykowskiego.

Matka moja jest najsilniejszym charakterem ludzkim jaki spotkałem w życiu. Tak ustalonej w samym organizmie, tak bezwzględnej, bez wysiłku sięgającej po każdy środek zarówno najniewinniejszy, jak najprzewrotniejszy — zimnej woli trudno sobie wyobrazić. Paradoks i tragedia tej duszy polegają na tem, że ta straszna siła działa w próżni i działając w ten sposób przepoiła się nią, stała się prawdziwie demoniczną potęgą wroga życia, niszczącą je w samych korzeniach. Obcowanie z tą kobietą zostawia w duszy pustkę огоłoconą ze

— nie dostrzegać ich i ślizgać się z rozczulającym uśmiechem, nieustannie potrącając o coś bolesnego i krwawego. To jest naiwność, szczerość, dzieciństwo. Ale biada, nawet oszczędzając to »dziecię«, rozumieć je w milczeniu dla siebie tylko i ulżyć sobie choć przez wypowiedzenie tego rozumienia. Zresztą ja tu zaprawiam się w szczerości. Chcę, aby dalsze karty były coraz szersze, bezwzględniejsze, zarówno, gdy idzie o moje wnętrze, jak i o innych ludzi. Mam ich dość tych moich »naiwnych«, oddanych przyjaciół. Dwóch ludzi którzy żyją w kontakcie ze mną i trzeci wyjątkowy, bo w oddaleniu wierzy — Ortwin, Rafał Buber i Witold Klinger — oto właściwie moi przyjaciele. Rafał Buber ma tyle dobroci i miękkiego wycucia ran, że często samo jego spojrzenie już leczy z długich tygodni i miesięcy samotności i rozgoryczenia. Nie wiem, tak naprawdę nie wiem, czem zasłużyłem, abym w szlachetnym sercu tego człowieka zajmował tyle miejsca. Ostap Ortwin — tu poprzestanę na tem wspomnieniu. O nim chcę pisać dużo w tych czasach. O nim i o Klingerze i o Buberze zresztą. *** jest jeszcze chłopcem — dzieckiem, i przez fatalną kulturę towarzyską — szkodzi sobie nieustannie i uraża. Uraża nieraz w sposób trudny do zrozumienia. Chrześcijaństwo jest dobrą rzeczą już jako towarzyska szkoła. Myślę, że i żydowstwo pewnie też. Ale dyletantyzm galicyjskich ćwierć-żydów jest gruntem, na którym nawet rośliny szlachetniejsze nabierają właściwości



ciężkich do zniesienia — jak ciężkich. Eudajmonizm już przez to samo nie może być podstawą etyki, że najfatalniej bankrutuje, jako zasada, jako nastrój decydujący w wychowaniu. Wychowanie jest obok miłości płciowej dziedziną, w której etyka jako taka, a więc do pewnego stopnia niezależna od status quo obyczajowości, prawa, wykazuje swą sprawczość. Myślę, że w dziedzinie stosunków erotycznych jak i w dziedzinie pedagogicznej, wychowania rodzinnego — przekonanie o »prawie do szczęścia« zostaje zdemaskowane bardzo szybko jako najfatalniejszy, arogancki, szkodliwy błąd. Ale naturalnie, by to widzieć — trzeba chcieć mieć oczy. *** jest jeszcze w fazie okularów.

Z planów moich, które powinienem wykonać. Powinienem, pamiętając o tem, com tu zapisał wczoraj i co jest niewątpliwie trzeźwą prawdą, którą tylko zmęczenie, pewne lenistwo, nuda i zniechęcenie wytwarzane przez moją gorzką i drogocenną zarazem samotność — mi przesłaniają. Mogę już dzisiaj pisać tak, żeby to, co piszę, wytrzymało miarę najkulturalniejszej publiczności europejskiej. Dlatego też powinienem mieć odwagę szczerości bezwzględnej. Mówić jasno, gdzie kończy się moje przygotowanie, określać jego granice, królewsko ignorować świat Feldmanów, Garfeinów-Garskich i Irzykowskich. Pisać własną terminologją, własnymi stano-

wiskami, robiąc dla nich miejsce w świecie. Jestem filozofem. Nikt inny nie był nim w innym znaczeniu tego słowa, niż to, w jakim ja jestem. Wiem, że mam, do końca życia będę miał mistrzów. Byłoby to oznaką dezorganizacji umysłu, gdybym przestał myśleć z czcią o Newmanie, Platonie, Kancie, Heglu, Berkeleyu — nieskończenie wielu innych. Ale w tym świecie i ja jestem. Czuje, że umiem samoistnie żyć w tym powietrzu. Jest to wielkie szczęście. Samotność ukazując w tym momencie swe drogie oblicze. Cichego szczęścia, spokoju, pokornego istnienia w bycie Twoim, Panie.

Wracam do planów,

Określić dokładnie rodzaj i granice moich informacji i napisać o umyśle Heinego. *Sartor Resartus* tu powinien być kluczem — a konsekwencje i analizy, intuicje i przeniknięcia powinny sięgać śmiało i nie uspakając się, póki się nie osiągnie światła. Teraz nie przebaczę już sobie żadnej rzeczy, która zamknięta zostanie w mroku. Ani patos, ani ironia.

Aktorstwo w pisaniu. Jak nadużyliśmy słowa jako *naturlautu*. Do niemożliwości. I tu Heine może dostarczyć gruntu, ale uwydatnić powinowactwo z Nietzsche — tylko wydobyć na jaw piękne i okrutne dziełstwo duszy Nietzschego. Ten rys, za który kochać nie przestanę i biada wszystkim, co go zdradzą. Za tę,



czystość jego, za skandynawską śnieżną nieprzystępność duszy, za granit i fiord kontemplacyi. Za to jedno powinien on być czczony. Jaka szkoda, jaka szkoda, że znał on i dał się uwieść tej »dziewce« Wagnerowi. Żle z każdym, kogo nie boli wagneryanizm Nietzschego. Nienawidzę Wagnerowskiej frazeologii. Jest to mój wróg osobisty. O Schopenhauerze nie mogę dzisiaj mówić. Prawie wszystko konkretne zapomniałem. Jeszcze nie umiałem czytać konkretnie. Dobrze byłoby go czytać tuż przy Heinem — ale nie odwlekaj. Napisz dumną przedmowę — a będziesz wracał i uzupełniał.

Dalek Stirner i Thoreau. Ach tak! ciągnie do przejechania się po niemczyźnie, po hypnozie wszystkich Irzykowskich tego świata. Ten Stirner nadaje się do tego. Ach, nie oszczędzać go. Tłuc ze wszystkich stron. Ukazać ohydę i bezkształtność w zestawieniu z łatyńskim światem, brudnowatość w zestawieniu z stuzmysłową i leśną duszą Thoreau. Trzasnąć w łeb srebrną trąbą, rogiem odważnego poszukiwacza skał, źródeł i męstwa — Stevensona, przywalić granitowym złodem, wśród którego ruiny, jak cud, w coś wszczepiły korzenie niezapominajki, dzikie głogi polne — Norwida. Cudowne piękno duszy polskiej. Tej duszy, którą dzisiaj zdradza wszystko. Boże mój, Boże mój, pozwól mi pracować, pozwól skupić siły. Daj jeszcze życie dla Polski.

Z rozkoszą, dumą — bezwzględnością po Stirnerze zawadzić Feuerbacha. Bokiem jeszcze tylko i zawsze śmier-

Kipling i d'Annunzio. Głęboko można tem korytem wpłynąć w duszę nowoczesną. D'Annunzio — i Włochy. Ukazać próby nowego odrodzenia. Cień Mazziniego. Carducci. — Żelazna dusza Crispi'ego. Boże, daj siły, daj siły.

Jerzy Sorel — jako mistrz moralnego życia epoki,
jego sumienie.

Wreszcie moje studium o filozoficznym znaczeniu pojęcia Boga, a raczej coś całkiem nieobjętego przez ten tytuł — obronę religijnego życia, atak na optymistycz-

Wreszcie moje studium o filozoficznym znaczeniu pojęcia Boga, a raczej coś całkiem nieobjętego przez ten tytuł — obronę religijnego życia, atak na optymistycz-

nego filistra, szlachcica i żyda. Jowialskiego i Papkina. Daj się przejechać Panie — a do gruntu po tem ta-latajstwie, splekać głupotę i miałki wrzask z polskiego życia. Nie dawać pardonu rozkochanym w sobie skro-fułom. Narcyzowatości nóg wykrzywionych przez cho-robę angielską nie szczędzić. Walić z ramienia w szpe-totę. Bić śmiechem. Tańczyć na pobojuwisku. Sprawić stygę. Z czaszki Feldmana pić za zdrowie wiecznie ży-wej duszy polskiej. Irzykowskiego padlinę na pożywie-nie chartom, które szczują zajęczo kręte omamienia dzi-siejszej kultury niemieckiej.

Sekret, sekret poliszynela.

Literat polski instynktem czuje, że literat niemiecki jest rozwinięciem tego typu, który w nim bez jego winy jest umęczony. Tu bolączka patryo-tyzmu. Ale kto was trzyma. Odstępował bym was tu-zinami Pressom, Blattom. Och, Boże! Niemcy dziś znowu nie mają kultury. Są znowu w stanie z przed Goe-thego. Znowu lokajstwo wszystkich stylów — tylko dziś zarozumiałe. Lokaj się dorobił. Jest baronem na Sado-wej i Sedanie. Styl niemieckich modernistów, wszystkich tych Schaukalów etc. etc. I to chce pisać o Francyi, rezonować o Włoszech, czuć dziewicze rycerstwo an-gielskiej poezyi. Ibsen niech wam wystarczy. Ibsen wła-śnie. Ani go za dużo, ani za mało. Pomimo, że jest

nięty przez wir sumienia biednego lorda Jima, dla którego jak dla Makbeta według głębokich słów S. T. Coleridge'a wszystko stało się wewnętrznem i ta ruina wewnętrzna z kolei stała się ruiną życiową. Bezwzględnie dla samego Conrada tu jest problem, co do którego się waha on. Jego głęboki nihilizm jednak czuje się czemś innem wobec »oryentalizmu« i cofa się przed nim. Teraz staje się dla mnie ciekawem pytaniem psychologicznem dedykacja jakiejś powieści Conradowskiej Wellsowi jako monografiście Kippsów. Kipps — to lord Jim, który nie wyjechał. To lord Jim, który nie wie, z jakiej otchłani wydobyły się jego nie wystawiane na próbę zachodnie pojęcia »o postępowaniu« etc. Ale Wells jest raczej zdania, że pewien amorfizm moralny, który nie dopuszcza do tego, aby jakieś załamanie życiowe stało się ostatecznem — jest raczej pożyteczny. Ludzie muszą być brudnawi i muszą się nauczyć, że to nie powinno, prowadzić ani do rozpaczy i samopotępienia, ani do ugrzęźnięcia w brudzie. Tono Bungaj, Kippsy, współczesne, opisowe powieści Wellsa przynoszą z sobą ten ton bezosobowej wyrozumiałości. Życie jest procesem w tak niesłychanym stopniu przekraczającym zakres naszej osobistej kontroli, że nie możemy uważać odpowiedzialności osobistej za hipotezę czyniącą zadość wszystkim stronom rzeczywistości. I tu także stosować się daje ów sceptyzm instrumentu: gdyż ostatecznie ja zachodnie jest hipotezą, instrumentem czynnym, etycz-

Muszę jednak właściwie sztucznie hipnotyzować się, by utrzymać wolę pisania. Teraz myślę np. o rzeczy o Heinem. Już naprzód widzę wszystkie nieporozumienia, całą złą wolę, która udawać będzie z taką maestryą, że usiłowała rozumieć. A przedewszystkiem moi tak zw. zwolennicy. Jest dla mnie rzeczą pewną, że człowiek o pewnych zdolnościach i o szczerzej woli myślenia i poznawania byłby w stanie z dotychczasowych moich prac wyłuskać już całą organiczną moją filozofię. W tym kierunku jednak nie można zauważyć żadnych symptomatów. Bez końca i bez końca te same szematyzmy i frazeologia. Jak mi to obrzydło, jak strasznie już obrzydło to paradoksalne rzemiosło filozofa i analityka kultury w Polsce. To nierozumienie samego poziomu w mojej pracy, to bagatelizowanie jej w samych pochwałach, a przedewszystkiem sami ci chwalcący. Co jest pomie-

wewnętrznych i tej potrzeby, która prowadzi do ich zdobywania. Gdy wchodzi oni do filozofii — przestają być artystami, poetami, obywatelami, historykami, ludźmi. Potem załatwiwszy się w odpowiadający takiemu zacieśnieniu karykaturalny, biurokratyczny sposób z filozofią, wracają do życia.

Poezja Shelleya istotnie jest fenomenem trudnym do scharakteryzowania. Wątpię, czy istnieje tu coś poza stopniem niejasnej tendencji. Ani Wordsworth, ani Coleridge nawet, ani Lamb (pomimo ciasnej sfery), ani tembardziej Blake nie mogą być porównywani pod względem głębokości i jedności z Shelleyem bez wielkiej dla tego ostatniego ujemy.

Trzeźwa, analizująca myśl dokładnie zdaje sobie sprawę, jak przypadkowo, historycznie i zewnętrznie uwarunkowanym jest tworem taka kategoria klasyfikacyjna, jak romantyzm. Zewnętrzna historia tego terminu byle tylko z odrobiną w głąb sięgającego krytycyzmu, oraz zmysłu i zainteresowania psychologicznego, przeprowadzona — byłaby niewątpliwie najlepszym wstępem do filozoficznych roztrząsań. Historia prawdziwa, rzetelna, odtwarzająca proces jest celem znowu tego przejściowego filozoficznego stadyum. Ale czy to wszy-

faktów. Któż jeżeli nie Irzykowski powinien był spostrzedz, że dramaty Kleista, Hebbła (*Bernauer*) są doskonałą antytezą *Samuela Zborowskiego*, ale Irzykowski woli pisać »lombard paradoksów,« kuźnię bluźnierstw i inne głupstwa, nad którymi unoszą się tumany kurzu i moli. O Galicyo!

11 marca.

Muszę zapisywać myśli w miarę, jak ukazują się one. Przekonałem się, jak łatwo one giną. Ale zmęczony jestem i w ciągu pisania ginie mi barwa, ton, ciepło. Poprzestać muszę na suchej notatce.

Kobiety Tomasza Hardy'ego. Zasadniczy punkt jest stosunek intelektu do płci. Intelekt nie chce utożsamić się z płcią. Sue w »*Judzie*« spogląda z przerażeniem, nieufnością na własne swe ja płciowe. Eustacya pragnęła uwierzyć w swą umysłową naturę, pociąg do interesującego kulturalnie, interesującego jednak właśnie dla tego, że jest ona w stanie niepokoju i rozdwojenia. Laodiceanka spełnia obowiązek, udziela satysfakcyi. Coś podobnego i w Lady Constantin(?). Mistrz kobiecej psychologii, głębszy niewątpliwie od Strindberga.

5 kwiecień.

Coleridge mówi o Sir Tomaszu Brownie, że był on bezwiednym Spinozystą; podobny pogląd wygłasza

Saint-Beuve o Montaigne'u. Spinozym polega, jak sądzę, na tem, że uważamy kulturę w najogólniejszem znaczeniu tego wyrazu za wynik nieznaney nam wartości, że jest ona dla nas skutkiem i formą istnienia niepoznawalnej istoty; sam punkt widzenia zarówno Hegłowski, jak Vica, Newmana, mój etc. uznaje wszelkie wartości i wszelkie właściwości wartości za wyniki i formy istnienia kultury. Swedenborg mówi: — Biada każdemu, kto na początku kładzie naturę. Stosunek do Boga jest sumą i istotą wszystkich tych stosunków, stanowisk, sił, dążeń, które tworzą kulturę. Kultura jest wyjściem poza człowieka aktualnego, by go przetworzyć z poza niego. Nadludzkie tworzy człowieka i określa go. Cała przyroda trzyma się na nadprzyrodzonym. Są to nie poglądy, lecz głębokie i niezaprzeczalne fakty. Stosunek do Boga musi zawierać w sobie moment, który nie pozwala mu stać się częścią, a choćby tylko sumą człowieka aktualnego. Nie może on być pojęciem. Bóg — pojęcie jest tem samem, co natura. Takim jest znaczenie Trójcy. Czy to widział w ten sposób S. T. Coleridge? Chcąc zrozumieć tajemnicę Trójcy powinniśmy ją wyprowadzić z istoty współżycia ludzkiego. Bóg jest podstawą i źródłem wszystkich stosunków międzyludzkich. Czy wyprowadzić w ten sposób ten dogmat znaczy to odebrać mu walor religijny? Bynajmniej. Życie ludzkie jest religią, jako fakt i usiłowanie zrozumienia go, uświadamienia, ujęcia tworzy religię jako myśl, wiarę, świa-

domość. Człowiek jest tak zbudowany, że dążąc do poznania siebie odnajduje Boga. Ale wtedy Bóg jest czemś tylko ludzkim? Nadzwyczajne. Jak gdyby prawda była pozaludzka. Poznając siebie człowiek poznaje budowę bytu, budowę prawdy, wrasta w nią myślą, tak jest w nią wpojony istnieniem.

W powieściach Hardy'ego są komedyowe charaktery, ale niema naokoło nich komedyowego nastroju. To co czyni ich komedyowymi staje się w odczuciu autora poważną rzeczą. Cięży na nim. Meredith współczuje ze zwycięstwem, solidaryzuje się z nim. Hardy z dźwigającymi barkami. Jest w nim pewna cyklopiczność. *Geist der Schwere*.

Wells nie ufa doskonałości. Zarówno w poznaniu, jak w etyce. Stąd jego powiedzenie o Chrystusie. Stąd pewna bloatwise(?), obrzękłość w jego powieściach. Jego ludzie są z tłuszczu, mają na sobie i naokoło siebie jego pot i kurz. I w tem wszystkiem »beauty«. To jest niewiadomo dlaczego podoba się to, nie mające właściwie nic coby usprawiedliwiało to podobanie, to astmatyczne, zadyszane, brudnawe istnienie. W Twainie niezrównanie więcej zdrowia. Doznają wrażenia, że słyszą samo brzmienie głosu, intonację tego »beauty« wyma-

wianego przez Wellsa i że jest w tem coś bezradnie zmysłowego, lubieżnego bez namiętności, zadziwionego przez zachód słońca wśród trawienia i łączącego te dwa fenomeny w jedno nawpół-cielesne odczucie.

I know, I know Newmana nie jest dowolnym zwrotem literackim — zresztą u Newmana niema tego rodzaju dowolności, jego pisarstwo jest doskonałym, ścisłym wyrazem myśli. *I know, I know* jest sformułowaniem niezrównanem faktu trudnego do uchwycenia, lecz niezaprzecznego, stanowiącego najgłębszą podstawę naszej istoty. Na dnie naszej duszy jest światło. Pozostaje ono w łączności z słońcem niegasnącem i wie o tem, wie, że wie prawdę o każdej rzeczy, która się jej ukaże, gdyż jedynymi rzeczami, jedynymi rzeczywistościami są decyzje woli, fakty, a raczej akty — czyny moralne. Wiemy, że wiemy całą prawdę o nich i widzimy każdą różnicę, każde odstępianie, zboczenie, uchylenie od tej prawdy, ale ująć ją wprost, sformułować in abstracto i ex professo nie jesteśmy w stanie.

I know, I know Newmana — to znakomite określenie tego, co tak wspaniale zresztą wypowiedział Pugno w *Voce* o świadomości religijnej, a raczej o budowie duchowej natur religijnych.

Nie zapomnieć, nie utracić z oczu tego *I know*
I know.

Każda wiara w zbawienie człowieka musi być uniwersalna. Katolicyzm jest nieuchronny.

Nieuchronnym, w samej idei człowieka zakorzenionym faktem jest kościół. Człowiek jest niezrozumiałą zagadką bez kościoła. Życie ludzkie jest szyderstwem i igraszką, jeżeli kościoła niema.

Mental »hinterland« H. G. Wellsa nie zapomnieć i nie stracić z oczu. W gruncie nie myliłem się — jest to przecież coś spowinowaconego z owem »it« Marca Twaina.

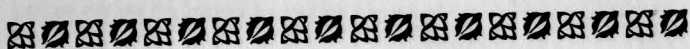
Dość ciekawy punkt widzenia w polityce przy czytaniu Wellsa. Każda klasa ma swój sposób życia i wynikające z niego zaspokojone lub niezaspokojone potrzeby. To stanowi nieuniknioną jej ograniczoność, ale poza obrębem tych granic, może istnieć i in potentia istnieje zdolność i wola konstrukcyi społecznej. Konstrukcyja ta jest jedynym właściwie przedmiotem polityki. I ona tylko wchodzi w rachubę. Zdolność, lub niezdolność konstruktywna jest tem, co kwalifikuje, lub dyskwalifikuje polityczne klasy. Najczęściej jednak uważa się wprost i n n y, niż nasz klasowy habitus za źródło wszystkich klęsk i braków naszego ustroju politycznego i bezwiednie uważa się sam brak tylko tego habitus, lub posiadanie habitus sympatycznego za zdolność polityczną i źródło nadziei.

PRZYPISY I OBJAŚNIENIA.

WSTEP.

Wydany w połowie r. 1910 zbiór studyów społeczno-filozoficznych, objęty tomem „Idee“, miał być wedle pierwotnego zamysłu autora zaokrąglony i zreasumowany pewnego rodzaju autobiografią intelektualną, artykułem konkludującym p. t. „Dzieje pewnego umysłu“, w którym Brzozowski pragnął skreślić „własną — jak pisał — naturalnie wyłącznie filozoficzną teoretyczną autobiografię“. „Ale przy próbach wykonania okazało się — donosił w liście z 14 kwietnia 1910 r. — że to rozrosłoby się pewno w wielki tom, trudny do napisania. Sądzę więc — pisał — że dobrze będzie poprzestać 1) na przedmowie, 2) na zakończeniu zawierającym coś w rodzaju mojego *Discours sur la methode*“.

Porzucona na razie myśl autobiografii widocznie nie całkiem jednak poszła w niepamięć. Odżyła na nowo w innej formie, wylaniając ze siebie niniejszy „Pamiętnik“ w długich miesiącach najbliższej zimy kiedy twórczość autora skazana długotrwałą chorobą na przymusowy wypoczynek musiała sobie w pisaniu dziennika szukać tymczasowego bodaj surrogatu systematycznej, źródkowanej pracy literackiej. Że zrazu „Pamiętnik“ miał pełnić głównie tę zastępczą, tylko rolę w okresie czy momentach pewnego osłabienia wytężonej dotychczas twórczości, świadczyłaby przedewszystkiem ta okoliczność, że ciągłość jego urywa się i ustaje zaraz w tym miesiącu następnego roku, w którym po dłuższej przerwie zaczyna się znów ożywiać praca ściśle literacka. (Studjum o Karolu Lambie i Józefie Konradzie w „Głosach wśród nocy“). Świadczyłaby zresztą o tem i sama treść „Pamiętnika“, oraz jej charakter. Składają się na nią bowiem w przeważnej części



luźne uwagi i dorywcze zapiski, wyblysłe z chwilowej inspiracji rzuty i odruchy myśli, kreślone zazwyczaj na marginesach książek, równocześnie studiowanych, dotyczące głównie pisarzy, których lekturę autor właśnie uprawia. Z rzadka tylko, tu i ówdzie te ściśle rzeczowe poglądy i rozpatrywania przerywa wynurzenie osobiste autora, a i tych treścią są przede wszystkim projekty, plany i zarysy prac zamierzonych w najbliższej przyszłości, wycieczki polemiczne, zwrócone przeciwko głosom postronnym o pracach dotychczasowych lub wreszcie rozrachunki ze zwalczanymi przez siebie stanowiskami i prądami umysłowymi w Polsce. Zapisując te okrucy impulsywnie napływających myśli „sub specie poruszenia duchowego“ ratował je w ten sposób Brzozowski od grożącego im rozplnięcia się bez śladu w niwecz pod mgłą oddalenia, chronił przed łatwym w tego rodzaju wybuchowej eksploatacji twórczej, jakiej typ przedstawiał, zapomnieniem, gromadził jako tymczasowy, przygotowawczy materiał do dalszego roznucia, rozwinięcia i pogłębienia w pracach późniejszych. Miał zresztą pełną świadomość, że te „nieprodukcyjne godziny, dni, tygodnie, to zarazem rosnąca przyszłość jego“, to nieprzerwany wytrwały okres statecznej konsolidacji wewnętrznego dojrzewania i twardnienia, okres, w którym duszę nie tylko odświeżał, zasiliał i karmił, ale i wyplątywał z tysiąca matni, rozprostywał, wzmacniał, uodporniał i uzbrajał w doskonalsze narzędzia i organy. Tem zaś droższym i cenniejszym musiał mu być każdy nowy węzeł, załom i przyrost procesu myślowego, każde świeże zatknięcie nowego punktu orientacyjnego wzdłuż zasadniczych linii wytycznych, że ani na chwilę nie przestawał czuć pod zdaniami, jakie kreślił, ciepłego tętna żywej rzeczywistości duchowej, że, zdając sprawę z rzeczy głęboko, szczerze, surowo i poważnie przeżywanych, miał zarazem prawo przeżyciom swym przypisywać obiektywne znaczenie prawd, zdobywanych długą i ciężką pracą myśli za całe pokolenie, którego przedstawicielem i przodownikiem mógł się śmiało mienić. Czuł bowiem i wiedział, że „nie chodzi mu o jego teorie osobiste, lecz o sprawy życia i śmierci umysłów, urabiających się i kształcących z nim razem w Polsce“. Stąd właśnie czerpał asumpt i uprawnienie do kreślenia tych notatek, „w formie dziennika — jak mi pisał — z rekapitulacją gdy jest nastrój“, a byłyby się one niewątpliwie w miarę postępu zbliżały z biegiem czasu coraz bardziej do pierwotnie projektowanej formy autobiografii intelektualnej, i ogarnęły całokształt burzliwych dziejów jego umysłu, których

szkic w przedmowie do „Idei“ starał się być zarysować. Na razie jednak stosunkowo najmniej „Pamiętnik“ zawiera tych retrospektywnych wspomnień z przeszłości, ograniczając się zresztą w tym zakresie do autobiograficznych faktów wczesnej młodości. Zdaje mi się atoli, że na samem dnie dążności rekapitulacyjnych spoczywał właściwy, utajony zamiar poruszenia i wyświeetlenia całego przebiegu tej fatalnej sprawy z przedostatniej doby życia, która tak tragicznem brzemieniem zaciążyła mu na losach i duszy.

Przygotowując na życzenie Wdowy po ś. p. Brzozowski „Pamiętnik“ ten do druku, w zasadzie postanowiliśmy w myśl woli autora, na pierwszej karcie rękopisu wyrażonej, drukować tekst cały bez jakichkolwiek zmian, skróceń lub opuszczeń. Pod tym względem nie uczyniliśmy również wyjątku dla tych ustępów „Pamiętnika“, które zawierają ostre, gwałtowne, nieraz może przykre ataki na szereg osobistości ze świata nauki, literatury czy polityki i nazwiska ich podawaliśmy bezwzględnie w pełnem brzmieniu. Wywołać to może niewątpliwie zdziwienie w dobie, w której konwenans towarzyski zapanaował w polskich sferach literackich niepodzielnie, a szczere sądy i opinie wypowiada się możliwie szeptem tylko i przy drzwiach zamkniętych. Wbrew tym konwenansom wychodziliśmy z założenia, że Brzozowski za życia w atakowaniu licznych swych przeciwników, nieraz bardzo możnych, żadnymi względami nigdy się nie krępował, występując do walki, która była jego żywiołem, zawsze z otwartą przyłbicą i zawsze godząc w imiennego współzawodnika. Co prawda w odwecie odplacono mu to później, zbiorowo już i bezimiennie, z grubo lichwiarskim naddatkiem.

Nie wymienialiśmy natomiast w tekście obojętnych nazwisk takich osób, odznaczając je początkową literą, które na widowni publicznej znane być nie mogą i z którymi Brzozowski zetknął się tylko wskutek ściśle prywatnej znajomości. W dwóch ustępach, które w objaśnieniach wskażemy, opuściliśmy kilka wierszy z dziecinnych wspomnień autora, jako nie nadających się na razie do druku. Jeden epitet zaś, zbyt obelżywy, wyeliminowaliśmy z tekstu. W kilku miejscach autor sam posługuje się inicjałami tylko, zamiast nazwiskami. Są one jednak zbyt przejrzyste i dotycząc osób, o których niejednokrotnie w „Pamiętniku“ jest mowa, nie potrzebowały uzupełnienia.

Odczytanie rękopisu przedstawiało znaczne trudności, wymagało dużo pracy i czasu. Obejmuje on zaledwie pięćdziesiąt dwie i pół

stronicy zwykłego nieliniowanego kajetu w ceratowej oprawie formatu 17 $\frac{1}{2}$ /27 cm. Zapisany jest jednak gęsto drobnem, sianem, Brzozowskiemu właściwem i charakterystycznie nieczytelnem pismem, unikającym zamykania i kropkowania liter, a zasadzającym się często na wiązaniu samych niezróżnicowanych, jednorodnych kresek. Godzinami trzeba było nieraz ślęczyć nad jednym słowem i raczej odgadnąć je na podstawie znajomości słownictwa i innych dzieł autora niż odcyfrować. Przy tej robocie, zarówno jak i przy wertowaniu biblioteki Brzozowskiego celem częściowego bodaj zrewidowania lektury, o którą „Pamiętnik“ potraça, był mi wielce pomocny p. Michał Rudnicki, tłumacz studyów Sorela „O sztuce, religii i filozofii“, za co Mu imieniem Wdowy na tem miejscu składam podziękowanie.

Mimo wysiłki nie udało nam się jednak w kilkunastu miejscach odcyfrować pojedynczych słów tekstu, i miejsca te pozostawiamy wykropkowane, o ile były zgola nie do odczytania, znaczymy je zaś pytajnikiem w nawiasie, jeżeli pozostawała pewna wątpliwość co do trafności interpretacyi.

Do tych ustępów tekstu, które zdaniem naszym wymagały pewnego komentarza, podajemy poniżej objaśnienia, jakie wydawały nam się potrzebne do pełnego ich zrozumienia. Informacyi faktycznych nie podawaliśmy o tych dziełach i pisarzach, o których czytelnik mógł być już z poprzednich pism autora lub z ogólnych podręczników literatury europejskiej powziąć wiadomość. Korzystaliśmy natomiast ze sposobności, aby w odpowiednich miejscach zużytkować korespondencyę autora z ostatnich czasów, o ile mieliśmy możność nią rozporządzać, przytaczając *in extenso* ważniejsze jej ustępy, poruszające tematy, przedmioty i zagadnienia, którym autor równocześnie w „Pamiętniku“ uwagę swą poświęcił.

Ostap Ortwin.

OBJAŚNIENIA.

Str. 1, ustęp 2. *Revue bleue*, tygodnik polityczny i literacki w Paryżu, założony w r. 1863.

Str. 2. *The Ordeal of Richard Feverel*, jedna z główniejszych powieści Jerzego Mereditha (1859), znakomitego powieściopisarza angielskiego (*1828 †1909), którego dzieła zdobywają sobie teraz dopiero zwolna, ale statecznie coraz liczniejsze koła wielbicieli.

Str. 3, ustęp 1. *Lasy Westermainu*, *The Woods of Westermain*, dłuższy poemat Mereditha, cytowany przez Brzozowskiego w „Głosach wśród nocy“ w rozdziale „O wychowawczem znaczeniu literatury angielskiej“. (*Poems by George Meredith, vol. 1.* London. Constable & Company Ltd. 1909. str. 73).

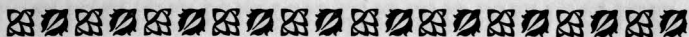
Str. 4, ustęp 4. Notatka ta odnosi się do książki myśliciela angielskiego *Francis Herberta Bradleya* p. t. *Appearance and Reality*, którą autor w grudniu 1910 studyował.

Str. 7, ustęp 3. *L'Averroès et l'averroïsme*, znane dzieło Renana (1852).

Str. 9, ustęp 2. *Amazing Marriage*, tytuł jednej z powieści Jerzego Mereditha. — *Katolicyzm w Anglii* — essay z II tomu „*Essays critical and historical*“ J. H. kardynała Newmana p. t. *Catholicity of the anglican church*.

Str. 12. *Tow. Lunaczarski*, pisarz i teoretyk rosyjskiego socjalizmu, który wraz z Gorkim odwiedził był Brzozowskiego w Florencyi. — *Siengalewicz*, dyrektor wyższego gimnazjum w Lublinie, do którego Brzozowski uczęszczał. (Patrz „Pamiętnik“ str. 86).

Str. 13, ustęp 2. Aluzya do artykułu p. Dra Feliksa Konecznego redaktora „Świata słowiańskiego“ p. t. „Teorya Grunwaldu“. (Przegląd Powszechny, 1910, lipiec). Artykuł ten znany był autorowi z przedruku w „Widnokręgach“ z dn. 10 sierpnia 1910. Z. X—XII. Wzmianka o nim powtarza się jeszcze na str. 132.



Str. 13, ust. 5. Cytata angielska, wzięta ze studyum J. H. Newmana „*Poetry, with reference to Aristotle's Poetics*“ w „*Essays critical and historical*“ vol. I. p. 21.

Str. 14, ust. 4. Nad tomem o Newmanie pracował Brzozowski od roku, przeznaczając go dla wydawnictwa „Symposion“. Część rękopisu, obejmującą kilkadziesiąt stron wstępu i sto kilkadziesiąt tłumaczenia, przysłał był nakładcy z końcem września 1910 r. Z pracy tej widocznie niezupełnie był zadowolony, skoro zamierzał ją zmienić wedle innego planu.

Str. 17, ust. 1. Definicja patosu *Etyki* Spinozy.

Str. 18, wiersz ostatni. *Thode* zaopatrzył w przedmowę „*Fioretti*“ św. Franciszka w przekładzie niemieckim, wydanym u E. Diederichsa w Jenie.

Str. 19. *Democratic Vistas*, jeden rozdział z prozaicznych pism Walta Whitmana, poety północno-amerykańskiego, wydanych pod zbiorowym tytułem „*Specimen days and collect*“. Stanowi on ciekawy komentarz do twórczości Whitmana, w którym kreśli on ideał demokratycznej przyszłości Stanów Zjednoczonych.

„*O Krasińskim mówiłem bezlitośnie*“ prawdopodobnie podczas swych wakacyjnych wykładów w Zakopanem w r. 1905.

O *Whitmanie* pisał Brzozowski, jak tu się wyraża, „niesprawiedliwie i sucho“ w *Legendzie młodej Polski* na str. 445, w rozdziale XII (*Dusza samotna*).

Str. 20, ust. 3 i dalsze. Aluzya do pięknego zresztą studyum *prof. Szymona Askenazy'ego* o *Tainie* pomieszczonego w jego „*Studiach historyczno-krytycznych*“, a napisanego w przededniu śmierci *Taine'a*, jeszcze zimą 1892 r. Jedynie w rozdziale IV. tego studyum znaleźliśmy kilka luźnych, wytykających *Taine'owi* zbytek pesymizmu, uwag, wobec których aluzye Brzozowskiego mogłyby mieć uzasadnienie. (Patrz *Studia historyczno-krytyczne*. Wydanie drugie — przejrzone i poprawione. Kraków, 1893, Str. 332, 334 i 341).

Str. 21, ust. 3. *Sainte Beuve* pisze o *Armand Carrelu* w *Causeries du Lundi*, t. VI. (wyd. Garnier-Frères); zacytowaną uwagę o stylu zawiera ustęp na str. 97—8 tejże książki.

„*Ces termes abstraits et doctrinaires étaient*“ alors reçus, et je ne les relève chez un des bons écrivains de l'école historique que parce que les chefs de cette école et lui-même se montraient alors de plus sévères contre les écrivains qui appartenaient à l'école qu'on appe-

Armand Carrel, publicysta francuski (1800—1836), wraz z Mignetem i Thiersem, główny w r. 1830 redaktor opozycyjnego pisma „National“, nieublagany przeciwnik rządu i wyznawca zasad republikańskich, który bystrością umysłu i nieposzlakowanym charakterem górował w publicystyce swego czasu. Wydał również pisma zbiorowe *Couriers*. (Patrz przypis do str. 141). Jego „*Oeuvres politiques et littéraires*“ wydali Littré i Paulin w 5 tomach w r. 1858.

Str. 26, ust. ostatni. *P. Walery Gostomski*, znany literat i krytyk warszawski, w przejeździe do Rzymu, odwiedził w tym czasie autora w jego mieszkaniu florenckiem. W ustępie tym autor nawiązuje widocznie do rozmowy, jaką miał z swym gościem. O odwiedzinach tych wspomina mi Brzozowski w liście znacznie późniejszym (z dn. 26/I 1911).

»Mówił mi — dodaje — że pisał z powodu *Legendy* do *Sfinksa*, ale to, co mówił, było nudne i bez znaczenia. Naturalnie, że jeżeli nikt nie zajął się filozoficzną stroną *Legendy*, to tembardziej *Ideje* muszą być dla piszącego intelektu polskiego zjawiskiem zupełnie komicznie izolowanem«.

Str. 27, ust. 7. O *Żeromskim* patrz jeszcze str. 122, 123 i 127 „Pamiętnika“, i przypis do str. 123. Sądzę, że stosunek Brzozowskiego do ostatniej fazy *Żeromskiego* twórczości był co najmniej chwiejny i to nie zawsze na jej korzyść. Dyskusję na ten temat kilkakrotnie przeprowadzaliśmy ze sobą ustnie, pisemnie i pośrednio przez osoby trzecie. Do niej to właśnie czyni Brzozowski aluzję. Ze swej strony starałem się Brzozowskiego nawrócić przeciwko *Żeromskiemu*. Nie zdaje mi się bowiem, aby sąd o twórczości tego pisarza, stanowiącego dziś dla postępowych i socjalistycznych kół polskich pewnego rodzaju tabu i palladium autoubóstwienia, musiał być zależny od poglądów społecznych i politycznych. Przeciwnie, mam to głębokie przekonanie, że na ustrój duchowy radykalnej młodzieży naszej obojga

pleci, charakter i ton twórczości Żeromskiego wywiera wpływ rozkładczy, działając nań jak toksyna, co przecież nie może przyczyniać się do pozytywnego wzrostu i skutecznego napięcia t. zw. rewolucyjnych kół w Polsce, które pod względem wstecznej formacji umysłowej i zacofanych metod myślenia wloką się dziś prawie na tyłach wszystkich innych obozów, istnie marodery cywilizacji europejskiej, niepoprawne upiory romantyzmu. Że Żeromskiego możnaby uważać za najgłębiej, najsilniej, najodważniej czującego z pośród żyjących pisarzy współczesnych — przeczyć nie odważyłbym się, ale klasycznie typowy, w spazmach, szlochach i sercowych palpitacjach rozmiłowany feminizm tego czucia i histeryczną erotykę jego rewolucjonizmu, tak daleką od męskiej gospodarki duchowej, a tak niebezpiecznie bliską efektownym pozom melodramatycznego heroizmu, mam prawo uważać za składnik w budowie zwycięskiej, dojrzałej, hartownej kultury narodowej co najmniej — niepożądany.

Str. 27, ust. ostatni. — *Dawid* — pan Władysław Dawid, przyjaciel autora, znany filozof i pedagog warszawski, były wydawca i redaktor tamtejszego „Głosu“, później „Przeglądu społecznego“ i „Społeczeństwa“, których Brzozowski był jednym z najpłodniejszych współpracowników. Wspomina też o nim kilkakrotnie w różnych miejscach niniejszego Pamiętnika.

Str. 28, ust. 1. — *Ogród fraszek* Wacława Potockiego autor musiał niedawno właśnie studyować, książkę tę bowiem sprowadził sobie w marcu 1910. w wydaniu kompletnem prof. Brücknera, pisze o niej w liście do swego nakładcy: „szczególniej Potocki był dawnem mojem marzeniem i widzę już, że lepszej książki, gdy chodzi o odświeżenie mowy, przysłać mi pan nie mógł“.

Str. 29, ust. 2. *Enquête sur la monarchie*, dzieło Charles Maurasa, teoretyka francuskiego rojalizmu, duchowego następcy Józefa de Maistre'a. — *Reflexion sur la violence* — dzieło Jerzego Sorela.

Str. 30. — *Jest to to, co St. Mendelson nazywa słusznie machiawelizmem Sorela*. O machiawelizmie Sorela Brzozowski napomyka również w „Ideach“ (*Bergson i Sorel*, str. 256): „Sorel nie machiawelizuje, choć ma on do tego skłonność i jest to jeden z braków tego pięknego umysłu, wytworzonych w nim przez zapoznanie się i walkę z retorami, gdy rozstrząsa on z głęboką bezstronnością teorie i hasła, najdalej od siebie stojące i t. d.“

Str. 32, ust. 2. *Witold Klinger*, przyjaciel Brzozowskiego i dawny

Friend. A series of essays to aid in the formation of fixed principles in politics, morals and religion, with literary amusements interspersed by Samuel Taylor Coleridge (wyd. 1818). (Brzozowskiemu dzieło to było znane z edycji The York library. London. George Bell and sons. 1904). Streszczoną przez niego uwagę znaleźliśmy w części I. (*Essays: Introductory*) na str. 65. Brzmi ona w przekładzie: „Dlaczego ludzie dają się uwodzić chwili obecnej? Oczwicie z tego powodu, ponieważ wyobrażenia ich są w jednym wypadku niewyraźne, w innym żywe, ponieważ wszelkie zmacone wyobrażenia budzą w nas niepokój i ponieważ niepokój zdolny jest nas popchnąć do przestępstw, które nie tylko żadnej nam nie rokują rozkoszy, lecz nawet nie wpłyną na usunięcie naszego niepokoju. Taką to zaiste jest ciężka kara przez naturę związana z przestępstwami nałogu, polegająca na tem, że w miarę słabnięcia motywów wzrastają podniety. Żadna rzecz, nawet światło samotnego kagańca w oddali nie kusi zamglonego umysłu ku sobie; ale własny jego poza nim niepokój napiera nań, jakby żelaznym bodźcem przeznaczenia. Cóż tedy jest lub może być zabezpieczeniem, lekiem, przeciwdziałaniem, jeśli nie przyzwyczajanie umysłu do jasnych, wyraźnych i zrównoważonych pojęć o wszystkich możliwych przedmiotach wyobrażenia i zachowanie w ten sposób uczuć głębokich, już z samego przyrodzenia towarzyszących owym ciemnym ideom, do moralnego udoskonalenia istoty ludzkiej i do pielęgnowania tych uczuć, pomimo, a raczej nawet wskutek swej niejasności niezbędnym — zachowania ich zatem dla rzeczy, które już sama ich wzniosłość czyni nieokreślonymi, zarówno jak je wzniosłymi czyni ich nieokreśloność, rzeczy dotyczących zatem idei bytu, formy, życia, rozumu, praw sumienia, swobody, nieśmiertelności, Boga. Łączenie z przedmiotami naszych zmysłów pojęć niejasnych, w następstwie zaś żywych uczuć, które zawdzięczamy tylko niematerialnym i nieznikomym rzeczom, jest dla serca profanacją, przesądem zaś dla umysłu“. W odsyłaczu do tego ustępu Coleridge sam zaznacza, że nie wyraża się tu tak jasno, jakby tego pragnął.

Str. 47, ust. 2. Porównanie S. T. Coleridge'a z Goethem znajduje się u Tomasza Quinceya w jego *Reminiscens of the English Lake Poets* w rozdziale pierwszym, poświęconym Coleridge'owi na str. 84. (Everyman's Library edited by Ernest Rhys. London. J. M. Dent). Dotyczący ustęp brzmi w przekładzie: Jako współczesny dzielił on

Str. 49, ust. 2. ...*przy czytaniu G. Bruna teorii platońskiego zachwyty pięknem*. Giordano Bruno. Opere italiane. II. Dialoghi morali. Con note di Giovanni Gentile. (Bari 1908. W wydawnictwie *Classici della filosofia moderna*. A cura di B. Croce e G. Gentile). Patrz str. 330, 340, 374—376, 383 tegoż dzieła.

Str. 54, ust. 1 i 2. Pośrednia polemika z Janem Lemańskim możliwie, że wymierzona jest przeciwko tegoż zgola osobliwym, zbyt symptomatycznym poglądom na rolę krytyki w „*Liście do szanownego krytyka estetycznego, albo do historyka literatury*“, zamieszczonym w jednym z rozdziałów „*Kamienia filozoficznego*“ pod tytułem „*Cudzystów*“ (Lwów 1911), na str. 95 i 96. „Różnica między krytykiem estetycznym — głosi tu p. Lemański — a artystą jest ta, że artysta nie

leni się wystąpić, że ma wiarę w siebie, że wierzy w swoje istnienie i śmiało powiada: żyję; sądźcie mnie, gańcie lub chwalcie. Krytyk boi się tego wystąpienia; boi się domniemanej zgany, bo wierzy w swoje niepowodzenie raczej niż w zwycięstwo, bo tchórzy; bo kryje się w cień, chcąc ukryć własnego ducha ubóstwo, ukryć swoją pasożytniczość, swoją niezdolność. „Artysta każdy jest dalszym ciągiem całego szeregu artystów poprzednich, tak jak estetyczny krytyk każdy jest dalszym ciągiem całego szeregu nieudolności poprzednich“. „Krytycy estetyczni i historycy literatury — to ludzie tchórzliwi, samolubni, ambitni lecz nieudolni“. Książkę Lemańskiego p. t. „Kamień filozoficzny“ autor mógł mieć w ręku od dwóch dni zaledwie, jak stwierdziliśmy w zapiskach nakładcy. W każdym więc razie miał czas ją przeglądać. Uwzględniając jednak pewien ton urazy osobistej Brzozowskiego w tym ustępie, spowodowany „dowodami złej woli wobec jego pism“ prawdopodobniejszem wydaje się być, że polemika ta jest zarazem odpowiedzią na nietaktowny wiersz Lemańskiego, zamieszczony osobiwszym zbiegiem okoliczności zapewne przez niedopatrzenie redakcyi w tym samym zeszycie lwowskich „Widnokręgów“ (z 10. VIII. 1910), w którym znalazła się również rozprawa Brzozowskiego p. t. „O znaczeniu wychowawczem literatury angielskiej“. Wiersz ten, p. t. „Erudyta“, pomieszczony na dobitek tuż przed jego rozprawą, był stąd właśnie znany Brzozowskiemu, który musiał go uważać poniekąd za paszkwil przeciwko sobie zwrócony, a to z powodu złośliwego nagromadzenia w nim szeregu nazwisk tych właśnie autorów, którymi on niejednokrotnie się zajmował w swoich pismach. Drugi ustęp utworu tego, opartego zresztą na równie nieuzasadnionej idiosynkrazji do krytyki literatury, co pogląd w „Cudzysłowie“ wyrażony, pozwolimy sobie tu zacytować:

*Co stworzyli Fichci, Hegle,
Kanci, Comci — umiem biegle.
Wszystkie zagraniczne „gajsty“
Znam: Ibseny, Markszy, Kleisty,
I Amiele i Sorele:
Wszystkich, wszystkich na proch mielę.
Wiem, co płonie, a co tli się
W Goethem, w Heinem, w Nowalisie;
Co w Shakespearze, w Macauley’u,*

niej nie czytałem. Pierwsza jest świetna, choć wolę rzecz o Browningu. Wydał on też parę powieści filozoficzno-humorystycznych. Jedną z nich: »Człowiek, który był czwartkiem« przeczytałem. Przepyszna w założeniu i strasznie zepsuta«.

Str. 56. *Dr. S. Johnson dzięki nieocenionemu Boswellowi* — patrz przypis do str. 43.

Str. 57. *A. C. Benson*, pisarz angielski, autor książek o D. G. Rossettim (1904), Walterze Paterze (1906), zbiorku studyów p. t. *English Men of Letters* (1905) i inn. — *Portret Watteau i Sebastyan Storck*, dwa rozdziały z „Portretów fikcyjnych“ Waltera Patera.

Str. 58, ust. 1. *Stara kobieta*, na dłuższy czas przed śmiercią autora planowana pierwotnie p. t. „Mór“ jako odrębna od równocześnie tworzącego się cyklu „Dębiny“ niezależna powieść, której pełny tytuł miał ostatecznie brzmieć „Książka o starej kobiecie“. Z powieści tej w spuściźnie pozostał jedynie fragment, złożony z prologu, dwóch pierwszych rozdziałów, stanowiących pewną zamkniętą dla siebie całość i urywka rozdziału trzeciego. Kilka charakterystycznych wzmianek o tej pracy znajduję w korespondencji autora ze mną.

»Powieść pod tytułem Mór zmieniała się w dwie, jedną pod tytułem Książka o starej kobiecie a druga w pewien rodzaj polskiego Sartor Resartusa o nieokreślonym na razie tytule«. (2 grudnia 1909). »Mór (Książka o starej kobiecie) może być sensacyjną — gdyż właściwie jest gwałtownym atakiem na idealizm w polityce, na entuzjazm i kult rozpacz, kultury porażki życiowej — a więc dostaje się wszystkim »świętościom« — a wiele rzeczy »potępionych«, »reakcyjnych« ukazuje swoją rationem essendi. Sądzę, że jest naszym obowiązkiem walczyć całą siłą z tą psychiką klęski i rozbicia; i tworzyć przeciwwagę na gwałt! podnosić choćby bru-

znikają w masie powinowactw. Po śmierci jednak rysy indywidualne i nawet przypadki biograficzne urastają w dogmaty. Polemika mogłaby być bardzo ciekawa, gdyby Croce miał godnych przeciwników, ale ci, co mogliby mu dużo trudności stworzyć — młodzi, z różnych filozoficznych kierunków, Prezzolini, Papini, Amendola etc. uważają, że Croce jest zbyt wielkim skarbem kulturalnym, a występuje przeciwko niemu rozmaita mieszanina karyerowiczów, politykantów i masonów, więc lepiej trzymać się na stronie. Działalność Crocego jest godna podziwu. Wydał on 3 tomowy system filozofii, który jeżeli nie w dziejach filozofii, to w dziejach heglizmu i literatury włoskiej duży ślad pozostawi. Obok tego wydał tom krytycznych studyów, *w których rewolucjonizuje poglądy na literaturę włoską XVII wieku, marinizm etc.* Niewątpliwie pisze on tu rzeczy, które nawet na porównanie polskiej literatury czasu baroku odbić się muszą. (Nawiasem, czy dobrze znacie Prometeusza Shelleyowskiego; ja bowiem doszedłem w ciągu pracy nad nim do stwierdzenia *powinowactw niewątpliwych z Pastor Fido i literaturą sielankowo-dramatyczną XVII stulecia włoskiego*.) »Polemikę spowodował pośrednio piemoncki profesor Thover czy Thouver (nie mogę zapamiętać jego dość dziwnego nazwiska) który wydał książkę p. t. *Pastore, grege et zampogna*. Broni w niej tezy, że Włochy od Dantego dopiero w Leopardim miały samorodnego poetę; resztę zalicza do erudycyi poezyi uczonej. Przedewszystkiem

do Brzozowskiego, — *Antoni Lange* poświęcił tej książce przedtem już ciepłą wzmiankę w jednym z zeszytów warszawskiego „Świata“ z początku r. 1910 w sprawozdaniu z ruchu literackiego za r. 1909. Były to pierwsze, jedyne i dość późne głosy publiczne o „Legendzie“, które po czterech miesiącach od pojawienia się dzieła przerwały wreszcie głuche a pocieszne milczenie, jakie w zakłopotaniu i wstydliwie zachowywała krytyka nasza i publicystyka bezradne wobec Legendy wtedy jeszcze, gdy dokoła niej huczało już w całej Polsce wśród jej czytelników.

Str. 66, ust. 2. O *F. H. Myersie* wspomina Brzozowski w jednym z listów do mnie z marca 1910 r.:

»Bez względu na też godne uwagi i zastanowienia są wyniki t. z. »psychicznych badań« i szczególnie wreszcie dzieło Myersa »Osoba ludzka«. Zdaje się, że trzeba raz na zawsze przestać lekceważyć telepatyę i tego rodzaju zjawiska. Rezultat osiągnięty daje przynajmniej jedno — uniemożliwia jakąkolwiek assocjonistyczną, intelektualistyczną, mechaniczną psychologię«.

Wzmiankę o Myersie spotkamy jeszcze na str. 79 „Pamiętnika“.

Str. 70, ust. 1. *A. C. Benson*, biograf Waltera Patera. Patrz przypisek do str. 57. *Maryusz (Epikurejczyk)*, Marius the Epicurean, magnum opus Waltera Patera, powieść z czasów Marka Aurelego, w której rozpatruje zagadnienia etyczne na tle przeciwieństwa epikureizmu i stoicyzmu. *J. Henry Shortouse*, powieściopisarz angielski, zmarły w 1903 r., autor powieści *John Inglesant* (1882), *Blanche Lady Falaise* (1891.), *Sir Percivala* i innych.

Str. 72, ust. 2. *Zrób Machiavella, Bruna, Vica* — mowa o wyborach dzieł tych pisarza, projektowanych dla biblioteki *Symposionu*. (Patrz „Głosy wśród nocy“ str. 35).

»Cieszę się nie mniej od Was — pisał mi Brzozowski jeszcze w jesieni 1909 r. — że mam w perspektywie możliwość zrobienia tej rzeczy z Wrońskim — a niemniej z Machiavellego i Bruna«. »Symposion stał

się przedmiotem moich marzeń — myślę, że już nie mógłbym w żadnej innej formie zrobić tak wiele rzeczy niewątpliwych, niż tu mi się uda». »Cieszę się niezmiernie, że te rzeczy wyjdą u nas i myślę, że biblioteczka będzie miała ogromne znaczenie kulturalne«.

Str. 72, ust. 2. *Dasz radę Słowackiemu* — do monografii o Słowackim przygotowywał się Brzozowski już od 1908 r. Patrz „Głosy wśród nocy“, str. 84.

Str. 73, ust. 1. *Studjum „O Stefanie Żeromskim“* wydał Brzozowski w r. 1904 w osobnej książce jako przedruk z warszawskiego „Głosu“. (Warszawa. 1905. Nakład G. Centnerszvera i Sp.),

Str. 73, ust. 1. W „*Filozoficznym*“ (Przeglądzie) drukował Brzozowski w r. 1903 studjum p. t. „Co to jest filozofia“, w r. 1904 rozprawę o „Etyce Spinozy“. — *Filozofia czynu*, studjum — drukowane w r. 1903 w Bibliotece samokształcenia, wchodzi obecnie jako rozdział II. w skład „Idei“ i składa się z trzech części: 1. Filozofia w jej rozwoju kulturalnym, jej zadania obecne i widoki na przyszłość. 2. Czem jest rzeczywistość? 3. Świat nauki i świat filozofii. Jest rzeczą ciekawą i naogół dość smutną, że na stanowisko w studyach tych zajęte całkiem samodzielnie i niezależnie od kilka lat później wszczętego prądu umysłowego na Zachodzie nikt wówczas, jak i dotychczas jeszcze z pośród pisarzy filozoficznych w Polsce nie uważał za stosowne zwrócić uwagę i je ocenić, lubo dokoła pokrewnych poglądów, importowanych już z zagranicy i opatrzonych marką mądrego towaru obudził się prawdziwie jarmarczny zgiełk wśród cisnącej się ciżby wyznawców „sezo - nowego na świat poglądu“.

Str. 73, ust. 1. *J. Władysław Dawid*, redaktor „Głosu“ i „Przeglądu społecznego“, patrz przypisek do str. 27. — *Wilhelm Feldman*, znany redaktor „Krytyki“.

Kucharski był redaktorem Biblioteki samokształcenia, w której Brzozowski współpracował. Ostry i obelżywy epitet poprzedzający nazwisko Kucharskiego, uważaliśmy za odpowiednie pominąć.

Str. 75. *Chamberlaine Houston Stewart*, znany pisarz niemiecki, autor głośnych dzieł: *Die Grundlagen des XIX Jahrhunderts*; — Richard Wagner; — Goethe; — Immanuel Kant, *die Persönlichkeit als Einführung in das Werk*.

Str. 76, ust. 2. *Rolland Romain*, autor przełożonej obecnie już na polskie powieści francuskiej p. t. Jan Krzysztof, nagrodzony w roku bieżącym przez Akademię francuską.

„*Powinienem, jest to moim obowiązkiem napisać książkę w obrobie Taine'a*“. W cyklu monografii, którego projekt wyłonił się w kilka tygodni później u Brzozowskiego, jak o tem będzie jeszcze niżej w przypisku do str. 154 i 155 mowa, zamierzał autor jeden tomik poświęcić Taine'owi. „Jeden z tematów do moich tomików — pisał w liście z 26. I. 1911. — byłby Taine i jego ostatni krytycy. W zasadzie całą siłą pro Taine'a.

Str. 79, ust. 1. *F. H. Myers* — patrz wyżej przypisek do str. 66.

Str. 79, ust. 2. Włoch *S. Minocchi* i Anglik *G. Tyrrel*, wybitni przedstawiciele modernizmu katolickiego. *G. Tyrrel* jest autorem polemicznego dzieła przeciwko kardynałowi Mercierowi wymierzonego p. t. *Medievalism*, oraz słynnej książki p. t. „*Through Scylla and Charybdis*, którą Brzozowski znał w oryginale, gdyż cytuje ją w „*Głosach wśród nocy*“ na str. 17. — Czytelnik nie znający języka angielskiego korzystać może z przekładu niemieckiego w wydaniu E. Diederichsa w Jenie p. t. *Zwischen Scylla und Charybdis*. — Tamże wydana została również w przekładzie niemieckim wybitna książka włoskiego modernisty *G. Prezzoliniego* p. t. „*Wesen, Geschichte und Ziele des Modernismus*“. *Giuseppe Prezzolini* jest autorem dobrze informującego dziełka „*Cos' é il modernismo?* (1908). — Znakomitą i ze stanowiska prawowiernie katolickiego wyczerpująco i krytycznie nowy prąd religijny w katolicyzmie przedstawiającą książką jest dzieło niemieckiego profesora dogmatyki dra Antoniego Gislera p. t. „*Der Modernismus*“. (1912. Verlagsanstalt Benziger & Co. A. G.). Z *A much abused letter*, dzieła *G. Tyrrela*, o którym Brzozowski na tem miejscu jako sobie nieznanem wspomina, pozwalamy sobie tu przytoczyć jeden ustęp, zawierający idee z kręgu zagadnień religijnych przez Brzozowskiego niejednokrotnie tak w „*Pamiętniku*“ jak i gdzieindziej poruszanych. Pewne pokrewieństwo poglądów nie da się bowiem zaprzeczyć.

„Musimy przyjąć, że Credo (kościół) zawiera wyniki doświadczeń religijnych sporej części ludzkości i długiego jej okresu, że przedstawia obraz absolutu — obraz wiarą ogarnianego świata nadprzyrodzonego, jakoteż stosunków człowieka do wszechświata — i że obraz ten posiada pewną praktyczną prawdziwość jako prawo postępo-

wania i o tyle czyni dopuszczalnym dowód z doświadczenia. Nie powinniśmy uważać Creda za rodzaj prawdy naukowej i znaczenia jego doszukiwać się zapomocą etymologicznego rozbioru każdego wyrazu, przeocząc przytem różnice, jakie stworzyła praktyka i związek rzeczy; musimy je raczej rozpatrywać w jego całokształcie jako symbol wrażenia, jakie nieskończoność o sobie samej w świadomości tak znacznego i ważnego odłamu ludzkości wszczepiła. Trójca, Stworzenie, upadek, wcielenie się w człowieka, ofiara śmierci, zmartwychwstanie, niebo i piekło, aniołowie i szatani, Najświętsza Panna i święci, wszystko to są kamiki jednej mozaiki, wszystko jest ściślejsem określeniem wiekuistej Dobroci, w której świetle człowiek wolę swą, swe skłonności i postępy kształtować musi, jeśli pragnie życie swe wieść religijnie i przystosować samego siebie do najwyższych rzeczywistości. Jako wyraz jest Credo niewątpliwie pełne skrzywień, przesady i omyłek; jego prawda tkwi niewywikłana (*inextricably*) z błędem pospołu jak złoto w rudzie; atoli ruda może być bogatsza, niż kiedykolwiek to danem było człowiekowi odnaleźć, a czyste złoto musi dlań być niedostępne, dopóki istotą ludzką pozostaje. Tylko poprzez wielobarwne szklivo różnych postaci takiego Creda przedstawia się bezbarwne światło Boże do nas, aby nami kierować; tylko poprzez takie właśnie szklivo możemy spoglądać wzwyż ku źródłu tego światła, które z konieczności przyoblekamy w kształty i barwy tego medyum, przez jakie je oglądamy". (*A much abused letter*. London 1907, str. 78—80; 102).

Str. 81, ust. 2. Mowa o I-ym tomie „Dębiny“, wydanym pod tytułem „Sam wśród ludzi“. Po wyjściu książki w trzy miesiące później pisze autor o niej w liście z 21. IV. 1911:

»Bardzo się lękam o los tej książki, zwłaszcza póki II. część jej nie dopełni i nie wytłumaczy; obecnie mam wrażenie, że nerwy i arterye wloką się po ziemi w sposób zgoła nie estetyczny«.

Str. 84, ust. 1. *Matthew Arnold*, poeta i krytyk angielski (1822—1888).

Str. 85, ust. 2. *Pani Du Deffand*, gromadziła za czasów Ludwika XV. w swym salonie literackim towarzystwo najwybitniejszych

osobistości ówczesnego świata paryskiego. Stałymi gośćmi byli tam Voltaire, Montesquieu, d'Alembert i in. Pozostałe po niej kilkatomowe zbiory listów należą do najciekawszych dokumentów obyczajowych wieków „oświecenia“ ważnych dla ustalenia i oceny wpływów salonowego, estetycznego życia towarzyskiego na kształtowanie się budowy duchowej nowoczesnego pisarza, literata i artysty.

Str. 91, ust. 1. *Herbaczewski J. Albin*, literat krakowski, obecnie współpracownik „Rydwanu“ wydał już po śmierci Brzozowskiego bardzo hałaśliwą i mocno pretensjonalną książkę „I nie wwódź nas w pokuszenie (szkicowane wizerunki dusz współcześnie wybitnych na tle myśli dziejowej)“, w której w sposób co najmniej żakowski przedrzeźnia się twórczości Wyspiańskiego i Brzozowskiego, głosząc zarówno apodyktycznie, jak głośłownie powrót do romantycznego stanu natury. Poglądy jego były Brzozowskiemu znane, zdaje się, jeśli się nie myli, z osobistego z nim zetknięcia się w Florencyi. W tym czasie bowiem nie były one jeszcze z trybuny publicznej wygłoszone. Osobista znajomość wystarczała widocznie Brzozowskiemu do trafnej oceny umysłowości Herbaczewskiego. Wzmianki o nim powtarzają się jeszcze na str. 91, 105, 133 i 155 Pamiętnika.

Str. 93, ust. 3 *Iza* — pani Moszczeńska znana literatka z Warszawy.

Str. 94, ust. 3. *O Lemańskim* — patrz wyżej przypisek do str. 54. Złośliwa aluzja do buddaistycznego stanu umysłowości Lemańskiego zaciekawia głównie z tego powodu, że dziwnie trafnie wyznaczyła ona ze zdumiewającą wprost bystrością kierunek, w jakim znacznie później dopiero miała pójść twórczość Lemańskiego, która kołując dotarła w ostatnim momencie wreszcie do nieuniknionej dla siebie ostoi w kwietystycznej filozofii Buddy i Laotse'go, wykładając między inemi zasady książki Taote-King w sonetach, co prawda, pod względem formalnie estetycznym mistrzowsko budowanych.

Str. 97, ust. ost., *Ellis, wydawca i komentator Blake'a*: mowa o książce *The poetical works of William Blake* edited and annotated by Edwin J. Ellis“. Wzmianka o nim powtarza się na str. 104.

Str. 104, ust. 2. *Voce*, tygodnik florencki, organ utalentowanego i zasłużonej już grupy pisarzy włoskich z Prezzolinim i Papinim na czele. Patrz niżej przypis do str. 118, tudzież „Głosy wśród nocy“, str. 32.

Str. 104, ust. 3. *Macilente*, jedna z postaci dramatu Ben Johnsona (1573—1637) p. t. „*Every man out of his humour*“.

milanese del secolo XVII“ pierwszą włoską powieścią w nowoczesnym tego słowa znaczeniu.

Str. 116, wiersz 7 z góry. *Spirit of the age*, tytuł dzieła pisarza angielskiego Williama Hazlitta (1778—1830), wydanego w r. 1825, a poświęconego portretom literackim współczesnych jemu pisarzy, między innymi Benthamowi, Godwinowi, Coleridge'owi, Walter Scottowi, Byronowi, Southeyowi i Wordsworthowi. (W zbiorze *The World's Classics* tom LVII).

Str. 116, ust. 2. „*The curse of Kehama*“, fantastyczny poemat Roberta Southey'a, angielskiego poety ze „szkoły jezior“, osnuty na tle podań hinduskich. Wzmianka o Lambie opiera się na znanym Brzozowskiemu liście Lamba do Southey'a, w którym o poemacie tym Lamb pisze: „*Kehama* jest niewątpliwie potężniejszą, jednakowoż nie czuję w niej tych silnych podstaw, jakie są w *Roderyku*“. (*Roderick, the last of the Goths*, poemat opiewający zniszczenie państwa Wizygotów przez Arabów). „Wyobraźnia moja zapada się tu i chwijeje w beznamiernych przestworzach niezbadanych dotąd systemów i wierzeń: wypadam poza granice swych starych sympatyj, a moje poczucie moralne prawie doznaje urazy. Nie mogę, względnie ze zgrozą, tylko musiałbym uwierzyć w tak rozpaczliwe stanowisko wobec Wszechmogącego, w takie zaprzeczenie wiary w ognisko centralne im silniejsze, tem bardziej bolesne do wyrażenia. Jowisz, oraz jego boska rodzina, chwiejący się pod razami olbrzymów, nie robi tego wrażenia, gdyż nadzieje duszy, mogą przyznać, nie upadają w takiej walce. Ale twoi wschodni wszechwładcy mają charakter zbyt nienaruszalnych arcycypów, aby można z nimi igrać bez drżenia. Tak zwanych atrybutów nigdy nie łączy się z Jowiszem. Wspominam jedynie o tem, co zmniejsza moją rozkosz odczuwanie czarodziejskiego wpływu Kehamy, nie zaś o tem, co zmniejsza jego siłę: wyznaję to z drżeniem; ale Roderyk jest miłym poematem“. (*The letters of Charles Lamb. Edited by Russell Davis Gillman, 128. To Robert Southey, May 1815.* W egzemplarzu, stanowiącym własność Brzozowskiego, znalazłem ustęp powyższy zakreślonym).

Str. 116, ust. 3. *Moja powieść*, patrz przypisek do str. 81. W trakcie pisania „Samego wśród ludzi“ budziły się w autorze rozliczne skrupuły co do współmierności strony artystycznej dzieła z szeroko zakreślonymi zamierzeniami jego fundamentu myślowego. Wątpliwościom tym daje kilkakrotnie wyraz w korespondencji ze mną, nieraz



Księga III. jest właściwie beletrystyczną krytyką romantyzmu polskiego. Raz jeszcze proszę Was — dodaje autor — nie sądźcie tej rzeczy na podstawie tego co jest wydrukowane. Będzie ona rosła w tonie i treści ciągle od książki do książki.

Wydrukowane zaś były wówczas nie wszystkie nawet jeszcze rozdziały książki pierwszej. Równocześnie zaś komponował już autor drugą swą powieść, wspomnianą wyżej w przypisku do str. 58 „Książkę o starej kobiecie“, o której napomyka w liście z maja 1910 r. pisząc:

»Wstrzymałem ją na razie na skutek gwałtownego ataku pesymizmu co do wartości mojej beletrystyki i skoro rzecz się Wam o tyle podoba, że jesteście, jak to widzę, i Wy osobiście chętni jej drukowi, znika przeszkoda z rzędu tych, które nieraz tygodniami czynią mnie niezdolnym do prowadzenia tej lub innej pracy«, W związku z tem dodaje w sprawie »Samego wśród ludzi«: »o część wydrukowaną tej rzeczy mam najsilniejsze obawy, teraz rzecz będzie potężniejsza powieściowo«.

Czy i o ile w zamysłach autora ostał się w dalszym ciągu nakreślony powyżej układ powieści, osądzić się nie da przy braku jakichkolwiek świadectw rękopiśmiennych. Projektowany tytuł dla drugiej książki utrzymał się następnie już tylko jako podtytuł jednego z jej rozdziałów. — Na księdze drugiej skończyła się też powieść „Sam wśród ludzi“, rozłożona pierwotnie na dwa tomy. Z drugiego jej tomu, mającego stanowić część drugą cyklu „Dębiny“ pod tytułem „Łąd nieznan“ pozostał jedynie urywek rozdziału pierwszego zatytułowany: *Ja bezimienne i bogowie*, a stanowiący początek książki trzeciej, której autor dał w rękopisie zmieniony nagłówek: „*L'humanité, Paraklet i prorocy*“. (Był on po śmierci autora drukowany w fejttonie lwowskiej „Gazety wieczornej“ w r. 1911).

cepeyi „Dębiny“, które, co prawda, pod względem wątku i osnowy fabuły uległy później całkowitemu przeobrażeniu, pisze :

»Jest dla mnie rzeczą prawie niezrozumiałą, dlaczego dotąd powieściopisarze wogóle tak mało zajmują się przekształceniami typu działacza historycznego. W Europie nawet aż nazbyt mało znanymi są przełomy pomiędzy ludźmi z przed r. 1830 — a działaniami po tej epoce, potem wielki kryzys psychiczny roku 48 zmieniający całą psychikę inteligencji europejskiej. A są to przedmioty pełne wewnętrznego dramatyzmu. Takie postacie jak Filipa Buonarroto, Blanquiego, Mazziniego, przerastają nieskończenie potęgą ziszczonej jedności duchowej typy stworzone nawet przez takich mistrzów jak Balzac i Stendhal. U nas w Polsce sprawa przedstawia się jeszcze gorzej : już poglądy nasze na kolejność pokoleń i typów wewnątrz własnego naszego społeczeństwa odznaczają się zdumiewającą płytkością, a o zrozumieniu kolejności tej z losami zachodu nie ma nawet mowy. Marzeniem mojem jest mojami pracami powieściowymi wypełnić w pewnej mierze choćby tę lukę. Nowa moja powieść ma być jednym ogniwem tego łańcucha, ogniwem oczywiście skądinąd stanowiącym samoistną całość literacką. Ma ona obejmować lata 1840 — 1878, osnowę jej stanowić będzie kronika rodzin szlacheckich połączonych przez związki krwi, a przedmiot jej : to przekształcenie psychiki polskiego szlachcica na tle ogólnej europejskiej historii. Rok 48 49, 63 stanowiłyby oddzielne wielkie momenty zwrotne powieści«.

»Nęci mnie oddawna pokazać choć rąbek Paryża tej epoki, gniewają mnie nawet nieustanne zachwyty nad tężyzną renesansu, nad Florencją Medyceuszów. Paryż tej epoki był ciekawszy od wszelkiej Florencyi i głębszy. Proszę przypomnieć sobie: obok siebie emigracja polska, Heine, Marx, świat Balzaca, Saint-Simoniści, Fourierzyści, Proudhon etc.« A dalej szkicuje: »Blanqui, Mazzini, Proudhon, Lamennais ukazywaliby się jako drugoplanowy świat powieści«.

Kreśląc obrazy koczowniczej, z gruntu wysadzonej, po wszystkich zakątkach europejskich rewolucyi za sztandarem zbawienia tłukącej się psychiki romantycznej, autor szukał zarazem oparcia w przedstawicielach rządnej, zwartej, ześrodkowanej woli twórczej a konstruktywnej, u których myśl i idea były tylko organizatorską sprężyną aktów dziejowych. W tę stronę też ówczesne studia swe zwracał, mając niewątpliwy zamiar spożytkować je w pracy nad dalszym ciągiem powieści.

»Ach czasu, czasu! — pisze mi w marcu 1910. — Jakoby można było napisać książkę na temat »Psychologia władzy« lub lepiej »Anatomia i fizjologia władzy« — w sposób zupełnie przedmiotowy możnaby poopisywać mechanizmy i automatyzmy myśli politycznej, wykazać, że *władza może tylko organizować wolę gotową*, stopnie jego złudzeń i to wszystko nie *in teoria*, ale dajmy na to w szeregu szkiców. I-o *mężów stanu* takich jak Richelieu, Metternich, Talleyrand, potem ludzi, którzy władają przez wpływ na opinię, strukturę tworzenia opinii, więc dajmy na to *Mazzini*, jakiś agitator angielsko-islandzki, Lamennais. Potem typy pośrednie *mężów stanu* posługujących się opi-

nią lub eksploatujących ją jak Cavour, Bismarck, Napoleon I. Potem historia zamistyfikowanych mistyfikatorów jak Napoleon III. Potem dajmy na to psychologia caratu od Katarzyny do Mikołaja II. Potem psychologia takich »liberałów«, »przyjaciół ludzkości« jak Gladstone. Ile dobrego mogłaby zrobić taka praca, ale to przecież jest minimum 500 — 600 tomów lektury! — a jednak wyznam, że jest to jedna z moich pokus«.

Str. 117, ust. ost. *Carlo Cattaneo*, publicysta włoski, wybitny uczestnik ruchu rewolucyjnego, republikanin, który jako zwolennik idei federacyjnej odmówił swego udziału w zjednoczonym parlamencie i nie złożył przysięgi na wierność królowi. — *Giuseppe Ferrari*, wolnomyślny filozof i historyk, profesor na wszechnicy w Turynie i Medyolanie po r. 1859. Jako członek parlamentu piemonckiego zaliczał się do zaciętych przeciwników aneksyjnej polityki Cavoura i bronił idei federacji. Był deputowanym do końca życia (1876).

Str. 118, ust. 2. *G. Papini*, młody filozof włoski, przewodca grupy Lionarda, wydającej w Florencyi tygodnik „Voce“, redaktor biblioteki filozoficznej „Cultura dell'anima“ o tendencyach zbliżonych do naszego „Symposionu“. Brzozowski miał sposobność osobistego zetknięcia się z Papinim. Ofiarowano mu również współpracownictwo w Voce, o czem znajduję wzmiankę w liście do mnie z 3 maja 1910 r.

»Będę teraz próbował — pisze — rozpocząć w miescowym tygodniku Voce kampanię o polskiej literaturze, ale czy dam sobie radę z włoszczyzną nie wiem. Wstrzymałem się dotąd inny wzgląd, mianowicie nie chciałem przez druk artykułów ściągnąć do redakcyi pisma życzliwych informacji o mojej osobie: przypadkiem jednak dowiedziałem się, że *ex re* mojego długiego pobytu tutaj, tam już interesowano się mną i wszelkie relacye od różnych roda-

swych bowiem obaj oni wychodzą z założenia, że jednostka ludzka z natury swej jest bezwzględnie dobra i że jej dobrą wolę psuje tylko i wypacza zły wpływ kultury, przymus społeczny i władza państwowa. Obu ich tedy zarówno, zdaniem mojem, uważać wolno za utopijnych głosicieli powrotu do stanu natury, dla których historia społeczeństw i narodów jest tylko jedną, wielką pomyłką. Naprawić zaś tę pomyłkę byłoby obowiązkiem reformatorów, opartych na „człowieczeństwie“ nawróconej do swego przyrodzonego stanu duszy ludzkiej, która samowładnie na gruzach zgniłej kultury ma wylonić z siebie odrodzony świat ducha i złoty wiek ludzkości rozpocząć.

Nie przeoczącą niewątpliwiej odrębności typów umysłowych, jakie obaj ci pisarze przedstawiają, bynajmniej oczywiście nie zaprzeczam, że wobec prostolinijności i prymitywności tołstojowskiej, Rousseau jest naturą bogatszą, bardziej złożoną, o klimacie gorętszym i roślinności bujniejszej, na wyższym poziomie kulturalnym rozwiniętej: jest zatem bliższy i zrozumialszy umysłem, wychowywanym w atmosferze zachodnioeuropejskiej. Zapewne, że i źródła i drogi procesów psychologicznych, stanowiących tło ich działalności pisarskiej są odmienne. Nie wyklucza to jednak zasadniczo jednakich przesłanek i założeń w ich dedukcyach myślowych. Pod tym względem sędzę, że pogląd mój na nich da się obiektywnie utrzymać, pomijając zresztą to, że podmiotowo połączeni są oni we mnie we wspólnej przeciwko nim obu idyosynkrazji.

Str. 126, ust. 2. *Teufelsdröck*, bohater powieści Tomasza Carlyle'a „Sartor resartus, or life and opinions of Herr Teufelsdröckh“. — *Hrabia Maddalo*, postać z poematu Shelleya „Julian and Maddalo. A conversation“. Dotyczący ustęp poematu brzmi:

*The sense that he was greater than his kind
Had struck, methinks, his eagle spirit blind
By gazing on its own exceeding light.*

Str. 126, w. 1 z dołu. *Cecchi ułatwia sobie sprawę* — patrz przypis do str. 122, ust. 1 i powołaną tam książkę o Kiplingu, str. 5—11.

Str. 127, w. 3 z góry. *Połoniecki*, nakładca szeregu ostatnich dzieł Brzozowskiego.

Str. 132, ust. 1 i 2. W ustępach tych Brzozowski reaguje na artykuły Irzykowskiego, pomieszczone w grudniowych i styczniowych zeszytach lwowskiego czasopisma „Widnokregi“. W artykułach tych

(*Dostojny bzik tragiczności*“ i „*W kształt linii spiralnej*“), zwłaszcza w drugim z rzędu Irzykowski, zwalczając, zresztą słusznie, pewne śmieszności, przesady i nalogi naszego świata literackiego, mimochodem zaczął Brzozowskiego, jakby go głównie obciążyć chciał odpowiedzialnością za te zbrocenia, czysto literackiej, estetycznej, salonowej raczej natury. Błąd Irzykowskiego tkwił przede wszystkim w tym, że pojęcia i poglądy Brzozowskiego związane ściśle z socjologicznym rozbiorem prądów umysłowych i literackich, z biosocjologiczną oceną myśli i teorii, w których Brzozowski widział nie tyle, jak Irzykowski to mylnie parafrazuje, „jałowe odbicia obszerniejszego wysiłku duszy“, ale zawsze wyrazy szerszych i głębszych interesów klasowych i narodowych, Irzykowski przenosił na teren wyłącznie książkowych zagadnień. Odrywał on je w ten sposób ze spłotu i całokształtu zasadniczego ujęcia ideowego, skutkiem czego pewne podstawowe Brzozowskiego chwytły, jak irracjonalizm, (raczej antyinteligentyzm, niż antyintelektualizm) romantyzm i historyzm doznawały gwałtownego wypaczenia zmieniając się w pewne dowolne figury myślowe, „koło których ludzkość się kręci“ jak tancerze w kotylionie na sali balowej wedle manewrów wodzireja lub figurki na szachownicy pod ręką partnera.

Ataki te dotknęły Brzozowskiego do żywego, jak świadczą powołane wyżej ustępy Pamiętnika, pisane świeżo pod ich wrażeniem. W papierach Brzozowskiego znalazłem list, pisany do mnie w tym czasie, poruszający również tę Jego wówczas bolączkę, którego jednak autor, z przyczyn niewiadomych, nie wyeksperymentował. Z listu tego przytaczam tu wyjątki, dotyczące tej polemiki.

»Piszę do Was, bo jestem zły i o ile się nie wygadamy, będzie to mi truło myśli i robotę. *Widnokreśli* przysłały mi dwa Nry z artykułem Br. Gałczyńskiego, bardzo przyzwoitym i miłym i artykułami Irzykowskiego, które doprowadziły mnie do wściekłości. Irzykowski zapowiada polemikę, ale dziś już mówi o »moich błędach« i nazywa mnie »arcyrracjonalistą«. Pisze, że racjonalizm posługuje się irracjonalizmem. Jeżeli tak, to wy-

1

1

Chcę teraz posłać parę rzeczy *Widnokregom*, lubo Bie-

geleisen gnębi mnie dystynkcyą. Gdy czytam go, widzę bardzo biały kołnierzyk i dużo fiksaturu.

Ten Twardowski *). On także stoi na stanowisku, »że referat posługuje się wszystkim«, ponieważ na początku c. k. Uniwersytetu jest umiejący pisać porządnie referaty i przy końcu powinien być urzędnik umiejący pisać referaty«.

W post-scriptum tego listu dodaje Brzozowski:

»Po namyśle odpisałem Irzykowskiemu. Poślę Wam ten artykuł wraz z korektami, jeżeli uznacie za odpowiednie, dajcie go T. Dąbrowskiemu z prośbą o wydrukowanie. Ale zróbcie, jak chcecie«.

W papierach pośmiertnych znalazłem również niewysłany wówczas rękopis artykułu polemicznego w odpowiedzi Irzykowskiemu napisanego, który tutaj *in extenso* przytaczam, jako częściową bodaj autoobronę Brzozowskiego z za grobu na ataki, które z pewnością nie byłby pominął milczeniem, gdyby go przedwcześnie śmierć nie była zaskoczyła, zwłaszcza, że następnie ponowiły się one jeszcze ze strony Irzykowskiego, w stopniu znacznie wzmocnionym w jego „Aforyzmach o czynie“.

»Nie sędzę właściwie, aby w przeciętnych warunkach polemika przyczyniała się do wyjaśnienia rzeczowego stanu zagadnień, o które polemizującym pisarzom chodzi; szczególnie zaś nie sędzę, aby mogła być ona

*) Brzozowski łączy tu przez nieznamość stosunków miejscowych p. dr. Bronisława Biegeleisena ze szkołą filozoficzną prof. Twardowskiego na wszechnicy lwowskiej. Popelnia przez to błąd faktyczny, gdyż p. Biegeleisen nie jest wychowankiem tej szkoły, która zatem za jego ewentualne „grzechy“ nie może ponosić odpowiedzialności.

pożyteczna u nas, gdy idzie o zagadnienia filozoficzne. Nasza filozofia jest tak nikłą roślinką, że przedewszystkiem troszczyć się nam potrzeba, o to, by istniejące potencyalnie raczej kierunki rozwijały się; dziś jeszcze przedwczesną jest walka o pokarm i światło, gdyż wątłe te i ledwo zaczynające istnieć organizmy zużyć są w stanie i przyswoić sobie tak niewielkie ilości pokarmu, że zbraknąć im go nie może. Właściwie nasi filozofowie więcej jeszcze powinni by się troszczyć o rozwijanie i wypowiedanie własnych swych stanowisk, niż o to, co myślą domniemani czy rzeczywisci współzawodnicy. Ile razy przynajmniej czytam mniej lub więcej surowe, czy też przychylne, lecz wytykające mi niejasności w moich pracach sądy, czuję, że istotnie zagadnienie przemaga jeszcze tak dalece w mojej myśli nad wynikiem, że tego rodzaju krytyka jest uzasadniona, nawet, gdy ten lub inny krytyk jej uzasadnić nie umie. W tym wypadku jest właściwie jeszcze więcej racyi, by prowadzić dalej swą pracę i w ten sposób najskuteczniej przyczynić się do wyjaśnienia metody i stanowiska, wykazania ich granic i faktycznej zdolności do życia. Zdolność do życia rozstrzyga ostatecznie: tej zaś nie dają jeszcze zwycięstwa polemiczne ani też nie odejmują jej porażki.

Takie nawet stanowisko wobec polemiki nie usprawiedliwia jednak milczenia, gdy prowadzić ono może do utrwalenia nieporozumień. Karol Irzykowski w ostatnich swych artykułach drukowanych w *Widno-*

on nie tylko stoczyć walną polemikę z rozmaitemi i to najżywotniejszymi kierunkami nowoczesnej psychologii, etyki, teorii poznania, nie tylko musi zrewolucjonizować dość silnem uznaniem cieszące się poglądy biologiczne i historyczne, nie tylko musi napisać nową historię Europy, lecz także rozstać się z własnymi swemi i to bardzo zasadniczymi stanowiskami. O ile wiem na przykład w biologii był dotąd Irzykowski raczej darwinistą w rozległym przynajmniej znaczeniu tego wyrazu; teraz widocznie wraca on na stanowisko bliższe Mojżeszowi. Jeżeli bowiem racjonalizm posługuje się irracjonalizmem, to naturalnie nie życie jako irracjonalny, arcyonalny proces wytworzyło jako jedną z swych kreacji rozum i jego formy bardziej wyrafinowane, lecz przeciwnie rozum to posłużył się życiem dla swoich własnych celów. Nie życie też i walka z jego nieprzewidzianościami stworzyły rozum ludzki, lecz rozum to, racjonalizm posługiwał się życiem tem i jego warunkami co najwyżej już jako sposobnością dla swego działania.

Irzykowski powie mi, że dla niego życie jest procesem pozapsychicznym w zasadzie, że jest to fakt na powierzchni którego wylania się świadomość i rozum. Mniejsza już o to, że teoryopoznawczo bardzo ciekawą jest rzeczą ten fakt istniejący o własnej sile; ale nie będę się o to spierał; wystarczy mi, że w takim razie życie jest faktem pozapsychicznym, który tworzy jako swój przypadek świadomość i rozum, a więc coś po-

zrozumnego rozumem się posługuje. Otóż to właśnie, odpowie mi Irzykowski, na tem zasadzają się prawa rozumu, że raz pojawiwszy się usiłuje on poddać swej władzy ten obcy mu fakt. Pięknie. By jednak coś takiego jak to poddanie władzy nastąpiło, musi ono być czyjaś wolą, musi czyjaś działalność zostać wprawiona w ruch, stać się pożądaną. By stać się działalnością, racjonalizm musi być aktem woli. Irzykowski musi tu obalić woluntarystyczną psychologię, musi rozstać się z Machem nawet, którego cenił do niedawna, musi znaleźć się w osamotnieniu wśród nowoczesnej filozofii i znaleźć się w sąsiedztwie z reprezentującymi prymat dogmatu prałatami potępiającymi modernizm. Prócz bowiem dogmatycznych antimodernistycznych katolickich myślicieli trudno dzisiaj o pisarzy reprezentujących konsekwentny intelektualizm w psychologii teorii poznania, etyce*). Dla Macha przecież twórczość naukowa, twórczość, której wynikiem staje się po odpowiednim logicznym i literackim opracowaniu to, co bywa nazywane rozumem jest stwierdzeniem doświadczalnym darwinizmu; rozum musi być stworzony, wynaleziony przez życie, zanim zacznie istnieć. Jeżeli Irzykowski chce jednak utrzymać się na swem stanowisku, musi zakwestyonować

*) Z umysłu nie mówię o heglizmie ani klasycznym, ani tych jego postaciach, które zostały wytworzone pod wpływem myśli Hegla jak np. Giov. Gentile, Benedetto Croce. Heglizm bowiem, to coś całkiem innego niż racjonalizm Irzykowskiego.

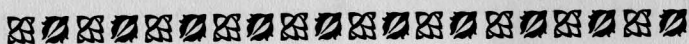
etyczną wartość doświadczenia, tworzenia nowych elementów poznania i rozumu. Doświadczenie dostarcza środków, racjonalizm wytyka cele, skądże je czerpie? Ma w sobie; na jakiej więc fazie doświadczenie wystarcza do stworzenia absolutnego wzoru? Neoplatonicy, chrześcijanie mają na to odpowiedź. Logos, słowo wcielone, Bóg-człowiek jest wzorem i normą, raz na zawsze. Rozumiem, że Irzykowski nie jest ograniczony w wyborze i Bab był boskim wzorem; dlaczegoż nie miałby być znany Irzykowskiemu jakiś inny boski intelekt. Jeżeli ja występuję przeciwko racjonalizmowi i to z względów etycznych także, jeżeli twierdzę, że tylko żywe życie tworzy wartości i żadna określona wartość ideałem być nie może, jeżeli twierdzę, że rozum jest narzędziem którego nie wolno się pozbywać, bez poznawczych praw po temu, ale tylko irracyonalizm życia, jego twórczość wytwarza nam kierunki i cele, to czynię to właśnie dlatego, że racjonalizm prowadzi nieuniknienie do ubóstwienia pewnej dziejowej treści, do antropomorfizmu. Nim Irzykowski mi wykaże, w jaki sposób może istnieć rozum jako coś niezależnego od sumy pewnego doświadczenia dziejowego, może lepiej będzie, aby powstrzymał się od ironii i uszczypliwości. Irzykowski powie mi, że racjonalizm jest to forma, metoda opracowywania wszelkich treści; teoryo poznawczo i historycznie jest to ryzykowne, ale przedewszystkiem nie przyda się to Irzykowskiemu na nic. Istotnie racjonalizm jest metodą ta-

Pamiętnik Brzozowskiego.

ukrytych dążeń mego irracjonalizmu, naturalnie boi się on mego »krypto-katolicyzmu«. Zdawałoby się jednak, że ten antyseptyczny stosunek do poznania nie licuje z człowiekiem, który niegdyś myślał o zakładaniu pisma, »które mogłoby nawet doprowadzić do samobójstwa całego komitetu redakcyjnego«. Zresztą katolicyzm i irracjonalizm są to dwie różne sprawy. Czy Irzykowski chce przysięgać na wszystko, co jest na indeksie? Jest tam dużo głupstw. Czy przeraża go, że obok Bergsona jest Le-Roy, a od tego krok do Tyrrela? A czy zna on racjonalistycznych teologów z łóż masonskich? Dzisiaj tu na Zachodzie ludzie swobodni walczą z nimi przedewszystkiem; dla Benedetta Croce (a to nawet intelektualista) najgroźniejszy nieprzyjaciół to »mentalité masonica«.

Pozwolę też sobie zaprotestować i to nie w moim nawet wyłącznie interesie przeciwko zestawianiu moich dochodzeń co do romantyzmu z działalnością pana Feldmana. Irzykowski niesłusznie krzywdzi Feldmana, dla którego wszystko, co ja piszę, jest nie tylko obce, lecz właściwie psychicznie nawet nie istnieje; na widnokręgu świata pana Feldmana niema miejsca nawet dla moich zagadnień; takie zestawienie więc może być dla niego przykre, gdyż osobistem przypomnieniem zasady, że życie jest snem lub nawet z czegoś mniej realnego jeszcze niż sen utkanem.

Str. 132, ust. 2 „*O mądrym, głębokim i męskim artykule p. Koniecznego*“ p. t. Teorya Grunwaldu, patrz przypis do str. 13.

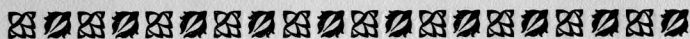


Brzozowski marzył o cyklu utworów dramatycznych, któreby w kształty żywe wcielały jego idee historyzoficzne, coraz pełniej krystalizujące się w ciągłych rozmyślaniach nad tragedią dziejów polskich. W maju 1910 r. zwierzał się z tem w liście do swego nakładcy.

»Nie wiem — pisał — czy pod wpływem czytania poetów angielskich, czy też istotnie *anch'io sono pittore*, co parę lat budzi się coś we mnie, teraz znów przepływają mi fale myśli po mojemu obrazowych, a że naogół pochlebiam sobie, że pewnej dojrzałości dosięgnął i nie liczę, aby duch sam sobie za mnie myślał i układał, więc sędzę, że tym razem będzie z tego coś poważniejszego, niż dotąd. Oddawna już czuję, że cała moja robota życiowa będzie w znacznej mierze stracona, jeżeli nie uda mi się wniknąć głębiej w organizm naszej przeszłości i dowieść nie argumentami, lecz konkretnem przedstawieniem jej, że ma ona inne znaczenie, niż te, które się w niej z innych punktów widzenia dostrzega. Jest dla mnie prawdą filozoficzną, że nie tylko wybieramy sobie swą historję, lecz tworzymy ją, ilekroć dzięki naszym myślom stają się czemś innem jej te lub inne wątki: niewątpliwie ta wielka myśl działała nieustannie na dnie twórczości Wyspiańskiego, ale jego organizacja artystyczna była tak przedziwnie skomplikowana, takie tworzyła zakręty czarnoksiężkie dla jego ciekawości artystycznej, że niewątpliwie (niech mnie bóstwa śmieszności strzegą przed myślą porównywania siebie z nim) twarda i umysłowa budowa własnego dzieła dochodziła do niego samego jakby z ukosa. Żeromski

też w Hetmanie miał podobne aspiracje, ale właściwie padł, bo chciał mieć w natchnieniu myśl dziejową, której nie znał lub lękał się w życiu. Chcę próbować kilka takich dramatów, z których ostatni z 6 byłby Wielopolski. Ale obecnie wchodzi w rachubę tylko pierwszy Królowa Jadwiga. Niewątpliwie domyśli się Pan, gdzie tu jest ten sam, co i w Wielopolskim centrum dramatyczny. Idzie o małżeństwo Jadwigi i o jego znaczenie polityczne dla całej przyszłości, a jednocześnie w najstraszniej krwawym sensie tragiczne osobie, gdyż zawierające w sobie pierwiastek aż przemieszania wartościom osobistym: wreszcie moment, że ta wola, która tu takiej ofiary się domagała i narzuciła ją, była sama już w narodzie rozszczępiona i choć stała jako coś bezwzględniejszego niż prawo, sama dla siebie prawem być już nie umiała».

Str. 152, ust. 2; str. 153—156. *Z planów moich, które powinienem wykonać itd.* "Brzozowski w tych memorandumach szkicuje dyspozycję studyów, które sobie wyznaczył w najbliższym czasie do napisania. Miał to być cykl monografij, poświęconych rozmaitym zagadnieniom i autorom, z których każda miała odrębną dla siebie całość stanowić, a wszystkie razem wejść w skład objętej wspólnym mianem biblioteki. Projekt tych studyów autor poruszył w liście do mnie z dnia 26 stycznia 1911, pisząc:



cach: w istocie jednak rzeczy tak stoją, że mogę pracować tylko nad tem, do czego w danym momencie czuję absolutne parcie. Po części było tak zawsze, a teraz choroba, która zmieniła mię tak, że moralnie, jeśli nie fizycznie, nie poznalibyście mnie, uczyniłaby mnie wobec tych powiewów »ducha« jeszcze bardziej nieodpornym i bezwzględnie im poddanym«.

»Jedyną rzeczą, która przychodzi mi łatwo i szybko jest proza krytyczna, polemiczna: pisanie artykułów, rozpraw na mniej więcej ściśle określone tematy. Otóż proponowałbym, byście wydali szereg mniejszych rozmiarom prac po jakieś 80—100 stronic, z których każda zawierałaby w całości jakąś inną, nową rozprawę krytyczną, polemiczną lub filozoficzną. Tomiki mogłyby mieć wspólny tytuł lub też być zupełnie każdy dla siebie«.

»Pisałbym w tej formie chętnie o Micińskim, o Tyrrelu i modernizmie katolickim; o pragmatyzmie; o Shakespearze Franka Harrisa, krytyka, który rewolucji dokonał w poglądach na Szekspira i którego książka należy do najgenialniejszych rzeczy, jakie zostały w literaturze krytycznej dokonane; słowem w kwestyach możliwie ciekawych, byle palących«,

»Jeden z tematów do moich tomików byłby Taine i jego ostatni krytycy. W zasadzie całą siłą *pro* Taine'a. Tematów znalazłoby się, jak grzybów«.

»Starałbym się wybrać odrazu tematy mocno interesujące i utrzymywać sposób pisania w stylu pamfle-

towym. Byłyby to *toutes distances gardées* moje *Unzeitgemässen*«. »Naturalnie zrozumiecie, że wyraz pamflet nie ma u mnie znaczenia aktualności politycznej. Filozofia i literatura, ale zaktualizowane w stylu po części Czepielowskim«. »Znam swój temperament pisarski i wiem, że tego rodzaju robocie podołam z przyjemnością w godzinach, w których do niczego nie jestem zdolny«.

W dwa tygodnie później, mniej więcej zatem w czasie pisania powołanych wyżej stronic Pamiętnika, skreśla Brzozowski w osobnym liście szczegółowy plan projektowanych tomików.

»Zaczynam wykonywać plan i załączam tytuły niektórych projektów moich.

Nie rękę za kolejność: pierwsze dwie rzeczy nie mają tytułu ustalonego, ale treścią ich jest: 1) Aktualna literatura polska, pewien rodzaj »o potrzebie idei«, ale w stylu naszej epoki, 2) Aktualny stan filozofii, już nie naszej, naturalnie: znowu o charakterze zarówno polemicznym, jak i konstruktywnym. Tytuły się znajdują i w pierwszych tych rzeczach niejako grunt całej seryi, jej uzasadnienie i program. Jakem pisał: staram się o wykład żywy, możliwie frapujący, a zdaje mi się, że w obu kwestiach mam dużo rzeczy nowych, nietykanych dotąd przezemnie i wogóle nie bardzo tykanych.

Dalsze mają fizioognomię bardziej określoną (mówię o tytule):

2) Umysł Heinego czy dramat myśli Heinego, czy coś w tym rodzaju, czy miejsce Heinego w dziejach myśli, ale tytuł będzie bez pedantyzmu.

4) Stirner i Thoreau (to pewno przed Heinem).

5) Henryk Kleist (to mogłaby być, jeśli mi się uda dużo sensacyja).

6) D'Anunzio i zagadnienia kultury włoskiej. D'Anunzio już jest epizodem zamkniętym we Włoszech a usytuowanym tak, że zmusza do ukazania zasadniczych momentów poprzedniej umysłowości włoskiej, jak i tych prądów, które położyły kres wpływowi tego poety. Tu mam rzeczy bardzo ciekawe, wprowadzające nas bardzo głęboko w duszę nowoczesną, nietylko włoską: mamy kryzys naturalizmu w filozofii i nowe kierunki (Croce, Gentile, grupa Lionardo), mamy kryzys socjalizmu włoskiego, a dzięki pracom Michielsa i niespodziewanie mądrej książce którą napisał *chiacchierone* Arturo Labriola, dzięki mistrzowskim i pierwszorzędnym, jak wszystko, co on pisze: uwagom Pareto z licznych artykułów w *Journal des Economistes* i jego włoskim homonymie, dzięki pracom Pantaleoniego (nazwisko fatalne, ale jedna z najoryginalniejszych głów), jak zawsze: Crocego, — możemy tu dać mnóstwo treści na innem terytorium dla mnie niedostępnej.

7) Kipling.

8) Sorel, tym razem nie jako socjalista, lecz jako samoisny i głęboki myśliciel, w dziedzinie etyki i wszystkiego, co z nią związane, jako spadkobierca Kanta, Carlyle'a — obok krytyka rozmaitych Ruskinów, Tołstoizmów, charakterystyki takich myślicieli, jak Wells itd.

9) Carlyle, Renan i Michelet, jako rozdział z dziejów myśli XIX. stulecia.

10) James, pragmatyzm, psychologia religii.

11) Znaczenie życia religijnego. Pewien rodzaj mojego »Religion innerhalb der Grenzen der reinen Vernunft«. Jasne wypowiedzenie się, które staje się dla mnie konieczne, a zobaczycie, że nie »skleszałem«, choć nieestety »zabobon o Bogu« jest u mnie nieuleczalny.

Wszystkie inne plany moje pozostają bez zmian, ale ta serya byłaby dla mnie potężnym środkiem ugruntowania mego światopoglądu, który, wybaczenie brak skromności, wydaje mi się dzisiaj w stanie bliskim dojrzałości. Myślę, że się nie łudzę, że tematy te przy dość niskiej cenie, niewielkim rozmiarze gwarantowałyby poczytność, a zapewniam Was, że gruntowność nie ucierpi na pewnej lekkości formy i że mogę się mylić, lecz uważam, pracując teraz, że jako krytyk i pisarz filozoficzny, poczyniłem postęp«.

Str. 157, ust. 2. *Irena*, córeczka autora.

Str. 157, ust. 3. *Lord Jim*, tytułowy bohater powieści pisarza angielskiego Conrada (Józefa Korzeniowskiego) znanej u nas z przekładu Emilii Węslawskiej, wydanej w warszawskiej Bibliotece dzieł wyborowych. Fragment studium o tym pisarzu zawiera pośmiertny tom pism Brzozowskiego »Głosy wśród nocy«.

Str. 160, ust. 2. W ustępie tym autor reaguje na pierwszą część artykułu p. Dra Bronisława Biegeleisena, omawiającego książkę Brzozowskiego »Idee«. Była ona pomieszczona w XXIII. zeszytach lwowskich »Widnokręgów« z 10 lutego 1911 i zajmowała się nie tyle »Ideami« Brzozowskiego, ile zagadnieniem czasu u Bergsona, co było tem dziwniejsze, że »Idee« bynajmniej nie opierają się na zasadni-

czych poglądach Bergsona, wychodzą z założeń całkiem odmiennych, znacznie silniej uwytłaczają wpływy Marksa, Kanta, Proudhona, Nietzschego, Sorela, lub choćby Feuerbacha, i częściowo Avenariusza, większa część zaś studyów, w skład „Idei“ wchodzących, powstała zgoła niezależnie od mody bergsonowskiej, na grubo przedtem, zanim Bergson stał się głośnym, i zanim Brzozowski, co prawda pierwszy w Polsce, zaczął się nim interesować. Krytyka bergsonowskiej intuicji czasu, przeprowadzona choćby nawet istotnie w sposób niezbity i przekonujący, nie tylko zgoła zachwiać nie może podstawowych założeń i wątków myślowych Brzozowskiego, ale wogóle porusza się już *a priori* na całkiem innej płaszczyźnie zagadnień. Cóż dopiero krytyka, której się zdaje, że podkopuje fundamenty „Ewolucji twórczej“ przeciwstawiając bergsonowskiej analizie pojęcia czasu fizykalną zasadę względności czasu i ostwaldowski czas dyssypatywny w zjawiskach katalizy chemicznej! Argumenty swe, mające rzekomo doszczętnie zatrzeć wykazywaną przez Bergsona różnicę między pojęciem czasu, mniejsza o to czy astronomicznego, czy dyssypatywnego, w nauce a konkretnem, psychologicznem przeżywaniem czasu, p. dr. Biegeleisen z małemi zmianami dosłownie powtórzył w ostatnich czasach znów z tryumfem w studyum swem „Uśmiechy Sfinksa“. (Warszawski „Sfinks“, za czerwiec i lipiec 1913). Całe szczęście jednak, że nie zdaje się, aby Bergson ze wstydem musiał ustąpić z placu boju przed p. dr. Biegeleisenem, którego polemika ujawnia całkowitą nieczułość na istotną, jakościową różnicę między abstrakcyjnym ujmowaniem czasu w nauce, choćby nie był on jednorodny, niezmienny i wspólny dla wszystkich zjawisk, a tem co jest trwaniem w świadomości człowieka. Ani w Pamiętniku, ani w listach Brzozowskiego nie znajdujemy wzmianki o drugiej części artykułu p. dr. Biegeleisena o „Ideach“ drukowanej w zeszycie „Widnokręgów“ z 15 marca 1911 r., a zatytułowanej „Metoda dzieła“, lubo metod ujmowania zagadnień przez Brzozowskiego (choćby zasadniczej metody materjalizmu dziejowego) zgoła nie dotyka, a zajmuje się przeważnie stosunkiem filozofii do nauki, poruszonym w Ideach tylko w jednym z trzynastu studyów, pisany jeszcze w 1903 r., zatem w czasie, kiedy i Brzozowski o Bergsonie jeszcze nic nie wie i w Europie jest o nim jeszcze głucho. Natomiast w ostatnim Brzozowskiego liście do mnie z 21 kwietnia 1911, na dzień przed śmiercią pisanym, znajduję jeszcze taki ustęp:

»Pisała w kartce S. P., że powinienem się cieszyć, ponieważ mojami książkami zajmują się pisma »naukowe« i literackie. Jakież to są w Polsce pisma naukowe? Biegeleisen z Widnokręgów przecież nie jest zdolny sprawić żadnej emocyi — zauważyłem tylko, że Irzykowski jest w stanie chronicznej irytacji i nie wszystko, co pisze on, jest nawet sprawiedliwe. Zresztą oddzielne tylko numery »Widnokręgów« mię dochodzą.

Str. 160, wiersz 8 z dołu. *Chłopięta ze szkoły Twardowskiego* — patrz odsyłacz na str. 203.

Str. 164, ust. 1. ...*ale Irzykowski woli pisać „lombard paradok-sów“, kuźnię bluźnierstw* — aluzya do „Aforyzmów o czynie“, znanych Brzozowskiemu z „Widnokręgów“ (zeszyty XXIII, XXIV i XXV)

Str. 164, ust. 3. *Tomasz Hardy*, powieściopisarz angielski ze star-szego pokolenia. (ur. w r. 1840), przedstawiciel szkoły naturalistycznej i mistrz t. zw. z niemiecka Heimatkunst, czerpiący swe tematy prze-ważnie z motywów zetknięcia się mieszkańców wsi z wyższą kulturą miejską. Z jego dawniejszych powieści najwybitniejsza *Far from the Madding Crowd* (1874), z nowszych *A Laodicean; or The Castle of the De Stancys* (1880), *Jude the obscure* 1895) i inne.

Ważniejsze omyłki druku.

Str.	wiersz	zamiast:	ma być:
29	1 z dołu	ustalały	ustalało
31	7 z góry	stanowisko;	stanowisko:
91	1 z góry	Herbaczewszczyzna	Herbaczewszczyzna
176	9 z dołu	Reflexion	Réflexions
177	2 z góry	filozofii	filologii
177	5 z dołu	ma brzmieć: Piotr Lassere, znany autor dzieła <i>Le romantisme français</i> . (Mylnie przytoczony tam tytuł książki dotyczy dzieła Ernesta Seillère'a, wspomnianego na str. 76).	
Str. 189	wiersz 19 z góry	zamiast: przedstawia	ma być: przedostaje.



86230

